

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 22 LUTEGO 1930 ROKU

NR. 8

TREŚĆ NUMERU: Pochwała kobiety — *Herminja Naglerowa*. Pomoc obłąkanym — *M. J. K.* Poezje: „***“, „To było bardzo proste“, „Kartka z podróży“ — *Gabrjel Karski*. Zawładroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Sposoby i środki — *M. H. Szpyrkówna*. Teatry paryskie — *J. Putiatycz-Surynowa*. Błaski i nędze życia kobiety. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Grosze życia codziennego — *Janina Łada-Walicka*. Sport łyżwiarski — *M. K.* Dobre odmiany warzyw (dok.) — *Zofja Wróblewska*. Zielona pasza dla kur w zimie — *A. D.* Cielecina — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Premje dla stałych Prenumeratorek. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Pantofelki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak kochało przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

POCHWAŁA KOBIETY

„Mównica“ naszego pisma jest niejako przyczynkiem do charakterologii dzisiejszej kobiety. Nie wątpię bowiem, że właśnie te głosy kobiet, poruszające tak śmiało, wnikliwie i szczerze wszelkie tematy — są dopiero tem prawdziwem wyznaniem dzisiejszej kobiecości. Są jak gdyby ową „confession“, która określa stosunek dzisiejszej kobiety do wielorakich spraw życia. Więc, choć stało się teraz zwyczajem, że my same nastawiamy się krytycznie do poczynań kobiety, że nie szczędzimy sobie ostrych słów, domagając się od nas dużo i coraz więcej — wystąpię raz jeden z pochwałą kobiety.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że zakres zainteresowań dzisiejszej kobiety jest bardzo obszerny. Jej świat nie ogranicza się bowiem ani do samego domu, ani do samej pracy zawodowej. Dzisiejsza kobieta żyje społecznie, to znaczy — pracuje dla pewnych zagadnień humanitarnych, dla pewnych grup, bardziej upośledzonych materialnie i moralnie. Jej podejście do tych zagadnień i zadań jest przytem rozumne, poważne i odważne. Nie posiada znamion szablony, jest życiowe i praktyczne.

Wśród takiej pracy nabywa kobieta pewnych cech altruizmu, a jej stosunek do rzeczywistości staje się ideowy, jej czynności dążą ku celom, obliczonym dla dobra ogółu. Możemy to nazwać świadomą służbą obywatelską, której założeniem nie jest narzucony obowiązek, ale obowiązek własnowolnie na siebie wzięty i doskonale zrozumiany.

Już same zagadnienia społeczne obejmują taką różnorodność i mnogość spraw, że, choć ujęte jedną nazwą i jednym określeniem, wyznaczają kobietom

polskim setki placówek pracy. Kobieta polska swoją aktywnością, pomysłowością i rzutną inicjatywą podchodzi do każdej bolączki społecznej niemal z entuzjazmem, a zawsze z wiarą w powodzenie swoich zamierzeń. Kiedy czytamy o jej projektach organizacyjnych, o jej zapale pracy i o osiągniętych już rezultatach, o tej prawie doraźnej, pośpiesznej pracy bodaj na małym odcinku i na najbliższym terenie — podziwiać musimy jej bystrość i rozwagę, jej doskonale ujmowanie problemu.

Kobiety polskie łączą w sobie zdolność obserwacji ze zdolnością współczucia. Nie są to jednak jedynie bierne talenty, przydatne tylko do popisów dyskusyjnych. Kobiety polskie odrazu wysnuwają z nich wnioski praktyczne: To, i tak musimy zrobić! Do tego natychmiast się zabrać! Własnymi siłami! We własnym zakresie! Nie czekać, nie zwlekać!

Kobieta patrzy trzeźwo, a jej ambicje są zdrowe. Nie myśli odrazu o „wielkiej roli“, o karierze, odznaczeniach, osobistych zyskach. Widzi przede wszystkim konieczność pracy na swoim odcinku. Nie ukrywa zazdrośnie swoich pomysłów, dzieli się niemi, wzywa inne kobiety, żeby tak samo, za jej przykładem brały się do pracy. Jest w tem uczciwy, ideowy stosunek do zagadnienia, jest w tem maximum bezinteresowności, jakie może osiągnąć człowiek. I jest w tem również solidarność wysiłku, zrozumienie wartości wspólnoty: nie tylko „ja“, ale „my“!

Dlatego też listy w „Mównicy“ przybierają formę — odezwy do ogółu kobiecego, albo brzmią skromnie formą zapytania, czy prośby o radę. Mam taki

a taki pomysł — powiedzcie, czy dobry, podzielcie się swoim doświadczeniem. I zawsze znajdzie się głos doradczy, zawsze odezwie się druga kobieta, która pomysł pogłębi i rozpatrzy.

Tak więc rozmaite zagadnienia społeczne, które nie zawsze wejść mogą w program pracy zorganizowanych związków kobiecych, rozmaite lokalne potrzeby i bolączki nie uchodzą uwagi kobiet. W pogmatwanej tkaninie życia są przecież owe węzły gordyjskie, których nie wolno przecinać, które właśnie trzeba cierpliwie — rozplątywać. Brawura Aleksandrów Wielkich przechodzi wprawdzie łatwo do legendy historycznej, ale zmuśna, cicha praca jest wiecznotrwała, choć bez rozgłosu.

Obok spraw społecznych, najwięcej miejsca w zakresie zainteresowań kobiety — zajmuje jej stosunek do życia psychicznego, jej głęboka troska o dom i współżycie rodziny. I tu właśnie znamieną dla charakteru, duszy i umysłowości kobiety jest dociekliwość, bodajże autowiwisekcja psychologiczna. Chce przedewszystkiem poznać siebie, jest niejako najbardziej drobiazgową wykonawczynią apelu greckiego filozofa: „Poznaj samego siebie!“

Rozprzężenie, grożące rodzinie, i te wszystkie nowe formy ujemne i dodatnie dzisiejszego życia, które nastąpiły i nastąpić musiały z chwilą, gdy kobieta wyzwoliła się ku człowieczeństwu — musi kobieta sama rozważyć i rozstrzygnąć. Czy jednak naprawdę musi to zrobić sama? Czy mężczyzna, niemniej zainteresowany w tych sprawach — materialnie, uczuciowo i moralnie — nie powinien również poddać rewizji siebie i swego stosunku do pewnych nowych form życia? Nie słyszeliśmy dotąd ani jednego głosu mężczyzny, zastanawiającego się nad sobą; prawie nie wiemy, czy i o ile zmienił się, zreformował i wyemancypował współczesny mężczyzna. Można by sądzić, że uprawia bierny opór, że cały trud przemiany, cały trud reorganizacji rodziny zostawia kobiecie. Trud tem większy, że mężczyzna jest przecież zawsze „głową rodziny“ i zawsze chce zostać tym ośrodkiem, do którego muszą się zastosować wszyscy, wchodzący w skład rodziny. Pater familias wciąż jeszcze spełnia swoje symboliczne prawo życia i śmierci.

I dlatego właśnie trzeba podziwiać rozum, takt i cierpliwość kobiety, a jej ustępliwość świadczyć powinna o jej wyższości. Kobiety zastanawiają się bowiem nad sobą, w sobie szukają win i wad, sobie nakładają obowiązek łagodzenia konfliktów. Nicują się, poddają niejednokrotnie nielitościwej krytyce, własne dusze, charaktery, usposobienia pragnęłyby przekształcić i ugnieść je, jak gdyby były z plasteliny. Czytam te listy i zdumiewam się. Jakże zanadto mądre, jakże zanadto idealne powinny być kobiety, żeby „zatrzymać“ miłość męża, żeby nie rozleciała się rodzina! Żadna kobieta nie zastanawia się nad tem, że posiada takie, czy inne wartości, zasługujące

na uznanie, przywiązanie, przyjaźń i miłość jego excelencji pana-małżonka. Żadna nie mówi: — Niech i on nieco się potrudzi, niech i on się „zastосуje“. Ale właśnie ty, małżonko, ty zawsze się uśmiechaj, zawsze mile pogaduj, gdy mąż jest mrukliwy, skwaszony, zneurastenizowany.

Nie mam, oczywiście, na celu „rewolucyjnej agitacji“, nie chcę nawoływać do „buntu“ i „porachunku“. Przeciwnie, doceniam i należycie oceniam to samopoznanie kobiety. Lękam się jedynie pewnej przesady w tym kierunku, pewnej niesprawiedliwej jednostronności w rozwiązywaniu tak ważnej kwestji, jaką dziś jest rodzina. A także boję się pewnego dogmatu w tej sprawie. Bo, mimo indywidualnego przedstawienia tego — raz jeszcze zaznaczam — ogromnie ważnego zagadnienia, z wszystkich głosów „Mównicy“, omawiających sprawę rodziny, wynika jak gdyby jedna ogólna teza. Tezą tą jest: uległość i ustępliwość. Jak jednak pogodzić te ewangeliczne cnoty małżeńskie z nowem, pracowitem życiem kobiety? Czy podolamy temu, jeżeli altera pars: mężczyzna, mąż — zechce nadal zachować dla siebie dawne przywileje pana i władcy w obrębie domowego ogniska?

Jeżeli więc zastanawiają się kobiety nad tem, jakby zaradzić gaśnięciu tych ognisk, trzeba do tej akcji wciągnąć także mężczyznę. Szkoda, że mężczyźni nie mają swoich pism, w którychby takie kwestje były szczerze omawiane. Mężczyzna nie wypowiedział się dotąd, nie „zdradził się“. Może więc wcale nie zastanawia się nad sobą, może sam siebie nie zaciekawia? Prosimy nasze czytelniczki, żeby do dyskusyj w „Mównicy“ wciągnęły swoich mężów. Chciałybyśmy wiedzieć — z kim honor, o czyją to przychylności, przyjaźni, przywiązaniu, uznaniu i miłości się ubiegamy! Czy ich to wogóle jakoś obchodzi, czy im potrzeba tego rodzinnego życia, tego ciepła, tej zgody, tego wzajemnego porozumienia? Czy może tę sprawę społeczną, na której stoi Państwo, ma udźwignąć tylko kobieta?

I tu właśnie wracam do założenia, do zasadniczej tezy mojego artykułu: do pochwały kobiety. Bo w istocie kobieta nie lęka się odpowiedzialności za organizację, czy reorganizację współczesnej rodziny. Kobieta, która bezsprzecznie jest dziś nowym człowiekiem, która zdobyła sobie sama to nowe człowieczeństwo, wie, że jest dziś poniekąd decydującym czynnikiem w niektórych kwestjach państwowo-społecznych. Mimo to, nie występuje ani demagogicznie, ani zbyt kategorycznie, nie wyzyskuje swojej — konjunktury. Przeciwnie — w jej rozważaniach i poczynaniach jest dążenie do kompromisu. Więc dlatego może owe pozory „uległości“, dlatego tyle autoanalizy. Ale też dlatego ten oczywisty wniosek, że kobieta zasługuje na uznanie i szacunek.

Herminja Nagleroma.



Warsztaty dla mężczyzn umysłowo chorych w szpitalu Św. Jana Bożego.

POMOC OBLĄKANYM

Po wielkiej wojnie ilość umysłowo chorych na całym świecie niepomrotnie wzrosła. I w Polsce jest ich liczba bardzo znaczna, dosięga bowiem 90.000. Spytacie, czy wszyscy znaleźli schronienie i opiekę w specjalnych szpitalach i zakładach?

Niestety, tylko szczęśliwsza mniejszość! Pozostało jeszcze około 78.000 chorych umysłowo, dla których miejsca w szpitalach niema.

Część z nich znalazła troskliwą opiekę w rodzinie, niezmiernie drobna ilość umieszczona jest w zakładach i lecznicach prywatnych — ale kilkudziesięciotysięczna większość cierpi przeważnie straszliwą nędzę.

Znane są, naprzykład, wypadki przykuwania obłąkanych łańcuchami do ścian izby, jak to się często zdarza po wsiach, zamykania w lamusach, bicia i głodzenia.

A i tam nawet, gdzie niema złej woli, gdzie istnieje większe zrozumienie nieszczęścia, nieraz znów brak środków lub nieświadomienie skazują chorego umysłowo na egzystencję nad wyraz ciężką.

Współczesna nauka psychiatrii uczy, że większość umysłowo chorych przy umiejętnych staraniach może być wyleczona; z drugiej strony, według nowoczesnych kierunków leczniczych, chory umysłowo winien być jaknajwcześniej zwolniony ze szpitala, gdy tylko miną ostre kryzysy choroby.

I właśnie ci obłąkani, zwolnieni z zakładów, ci „rekonwalescenci“, w większości wypadków pomnażają również zastępy nieszczęśliwych. Bezradni, je-

szcze nie uleczeni całkowicie, stają się lupem nędzy i dalszej choroby.

Spółczeństwo udziela pomocy ubogim, kalekom, nie odmawia jej również wyrzutkom społeczeństwa — przestępcom — pod postacią patronatów więziennych: słuszną więc i konieczną rzeczą jest okazać pomoc i tym nieszczęśliwym — obłąkanym.

Poczyniono już pierwsze kroki na tej drodze.

W początkach 1928 r. grono ludzi dobrej woli powołało do życia, przy „Warszawskim Towarzystwie Opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi“, stowarzyszenie pod nazwą: „Sekcja Opieki pozaszpitalnej nad umysłowo chorymi“.

Zadaniem Sekcji jest przyjść z pomocą, zarówno chorym umysłowo, którzy z tych czy innych względów nie mieli dostępu do szpitali, jak i tym, którzy, zwolnieni już ze szpitala, wymagają jeszcze pomocy i opieki.

Teren działania Sekcji ogranicza się narazie do miasta Warszawy, w której znajduje się około 2.000 obłąkanych poza szpitalami. Sekcja pragnie choć w części zastąpić im zakład leczniczy lub szpital, przede wszystkim przez dostarczenie opieki lekarskiej, ponadto jednak stara się okazać im pomoc w znaczeniu ściśle życiowym, a to przez ułatwienie warunków egzystencji chorego i jego rodziny, znalezienie i umożliwienie im pracy zarobkowej i t. p.

Specjalne pielęgniarki, powołane przez Sekcję, odwiedzają umysłowo chorych w domu, wglądają w ich warunki życiowe, udzielają rodzinie wskazó-



Chore umysłowo przy pracy w szpitalu św. Jana Bożego.

wek, jak należy się z chorym obchodzić, pomagają przy załatwianiu różnych spraw i interesów i kierują w miarę potrzeby do zarządu Sekcji, który znów w miarę swych sił udziela zasiłków pieniężnych, odzieży, żywności i t. p. Naprzykład pewnej byłej chorej udzielono pomocy przy nabyciu świadectwa przemysłowego, które umożliwiło jej zajęcie się handlem. Ubogiemu technikowi z lekką chorobą umysłową Sekcja udzieliła subsydjum na model łóżek, których wyrób mógłby mu stworzyć źródła utrzymania.

Sekcja prowadzi też kursy dla swych członków, które mają udzielać im zasadniczych wiadomości z dziedziny psychologii, anatomji, fizjologii i higieny — wiadomości, które w praktyce spożytkowane być mogą w stosunku do umysłowo chorych, pozostających pod opieką członków Sekcji. Na usługach tego pożytecznego stowarzyszenia pozostaje również lekarz-psychjatra, który rozciąga opiekę nad chorymi pupilami Sekcji.

Jednocześnie Sekcja jest w trakcie starań o lokal, w którym mogłyby być utworzone pracownie i warsztaty dla chorych jej pupilów.

Zdarzają się obłąkani samotni, którzy nie mają nikogo, kto by się nimi mógł zaopiekować; w takich razach Sekcja stara się umieścić ich, za odpowiednim wynagrodzeniem, przy jakiejś uczciwej i pewnej rodzinie, która zobowiązałaby się rozciągać nad nimi opiekę.

Poza opieką ogólną i pomocą lekarską, Sekcja ma na celu wyszukiwanie potrzebującym zajęcia, daje im pomoc prawną i ochronę ich interesów. Tak np. zdarza się często, że obłąkany, umieszczony w zakła-

dzie, pozostawił cały swój dobytek, mieszkanie, rzeczy — na lasce losu. Wówczas Sekcja czuwa, by pupile jej nie byli krzywdzeni w okresie ich niepoczytalności.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie praca, podejmowana przez „Sekcję Opieki pozaszpitalnej nad umysłowo chorymi”.

Myślą przewodnią osób, grupujących się w tem, tak szlachetnem stowarzyszeniu, jest, aby chorzy umysłowo nie czuli się wyrzuconymi poza nawias społeczeństwa, aby choroba ich, ta straszna krzywda losu, nie równała się dla nich całkowitej zagładzie. Sekcja pragnie wyrobić wśród szerokiego ogółu ludności świadomość, że obłąd jest tylko chorobą, która przy umiejętnem leczeniu może być niekiedy usunięta. Wreszcie, że nawet w czasie trwania choroby umysłowej, chory, odpowiednio kierowany, może w chwilach spokoju zajmować się pracą i być pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Dobrzeby było, aby inicjatywa Sekcji znalazła szersze echo wśród społeczeństwa.

Byłoby rzeczą nad wyraz pożądaną utworzyć w porozumieniu i pod kierunkiem Sekcji sieć kół opiekunów nad umysłowo chorymi. Na to jednak trzeba, aby znaleźli się ludzie chętni, ofiarni i współczujący.

Ze sfer fachowców-psychjatrów padają głosy, że do roli opiekunów nad umysłowo chorymi szczególnie powołane są kobiety. Wrodzona im subtelność, umiejętność wnikania w psychikę innych, czyni je w większości wypadków wymarzonemi opiekunkami i dobrodziejkami obłąkanych.

Inicjatywę niesienia pomocy tym nieszczęśliwym należy podnieść szczególnie na prowincji, w ośrodkach bardziej oddalonych od większych miast, tem samem — od szpitali, lekarzy i kultury; tam bowiem los obłąkanych bywa najopłakańszy, tam sprawa ta jest najbardziej palącą.

W porozumieniu więc z lekarzem-psychjatrą, jeśli jest na miejscu, lub wogóle z doktorem medycyny, jeśli psychjatri niema w okolicy, należy łączyć grupy chętnych i, czy to pod nazwą „Kół Pomocy dla obłąkanych”, czy „Sekcji opieki nad umysłowo chorymi” — przystąpić do pracy.

Praca ta w ogólnym zarysie naśladować winna działalność warszawskiej „Sekcji opieki pozaszpitalnej nad umysłowo chorymi”, a przedewszystkiem musi rozpocząć od zebrania danych o liczbie i miejscu zamieszkania umysłowo chorych w danej okolicy. Warszawska Sekcja ze swej strony jaknajchętniej służy prowincjonalnym stowarzyszeniom wszelkimi informacjami i wskazówkami.

Zapytania i zgłoszenia pracy kierować należy pod adresem Sekcji w Warszawie: „Szpital Jana Bożego, ul. Bonifraterska, Kierownik Sekcji Dr. T. Łapiński.

M. J. K.

GABRIEL KARSKI

P O E Z J E

* * *

KARTKA Z PODRÓŻY

Wiedziałem, że odejdiesz. W wszystkim był już
gdzie się ze mną rozstaniesz, którą pójdiesz drogą,
jakie mi słowa powiesz, co już nic nie mogą...
I oto się spełniło dziś, w ten cichy wieczór.

Lecz kiedy cię mym oczom skrył ostatni zakręt,
gdym w bolesnym spokoju powracał do domu,
skądś przybłąkał się do mnie cichcem, pokryjomu
ból obcy, nieprzeczuty, niespodziany natręt.

Wtem zabięł drogę, skomle, patrzy w oczy moje,
jak pies bezdomny — drżące, pokorne pytanie...
Wiem: już go nie odegnam, już przy mnie zostanie...
Chodź, piesku, chodź... przygarne, nakarmię, napoję..

Bosfor — błękitna roztoz, jak turkus bez skazy,
Stambul, zgasłych tajemnic grający bezruchem;
Akropol z nieśmiertelnym Peryklesa duchem,
w słonecznej glori śpiące drogocenne glazy.

Sfinks — wzgardliwa świątynia dziwacznej ekstazy;
Piramidy — rozbitki, w natężeniu głuchem
trwające na pustyni morzu wiecznie suchem;
na podniebiu kuszące bezludziem oazy.

Tak! zwycięska ucieczka, zatrzaśnięte wrótnie...
miasta, kraje, kwitnące światu ku ozdobie...
tak... ale nie pocieszysz mnie to balamutnie:

cóż mi po tem? gdy w serca samotnej żalobie
trwa pewność, że najpiękniej byłoby — przy tobie;
gdziekolwiek, wszystko jedno... w Sochaczewie... w Kutnie...

TO BYŁO BARDZO PROSTE

To było bardzo proste. Bez skarg, bez wybuchów żalu,
Nic. Wytworna rozmowa —
taka, jak zazwyczaj na balu,
prowadzona dyskretnym półszepceniem —
mała pauza — jeszcze dwa, trzy słowa —
i uśmiech — uśmiech taki sam, jak przedtem...

A potem — drzwi już były rozwarte naosiecz,
do wyjścia tłoczyli się goście,
niektórzy go potracali —
w pośpiechu, oczymicie niechcący...

A potem odezwał się służący:
„Pan będzie łaskaw... światła gaszą w sali...”



HERMINJA NAGLEROWA

42)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Ale Franek nie chciał ustąpić z placu. Właśnie zostanie tu, tu będzie warował, jak pies. Może sobie matka przypomni, że patrzy na nią syn i zastanowi się nad swoją śmiesznością. Pomyślał, że jego obowiązkiem jest — przeszkadzać. Przeszkadzać z litości nad matką! Odmówił więc niegrzecznie:

— Możesz iść, skoro się nudzisz, ja bawię się doskonale.

Janek, oczywiście, został, bo właśnie zaczęto pić szampana. Uciszyło się na chwilę przed północnym ceremonjałem, potem zgaszono światło i ciemność zakrzuszyła się śmiechem, skłębila się szeptem. Gdy zrobiono znowu światło, Ola oderwała się od Adolfa i przypadła do pianina, jakgdyby zagarniając całą klawiaturę dla marsza weselnego z Lohengrina. Akordy waliły w głowę, druzgotały pierś, a oddech bronił się przed rytmem, aby właśnie nie tak, jak oni, nie tak, jak wszyscy, nie razem z nimi. Zwierzęcym rykiem wtórował Adolf, Kazimierz tylko lekko palcem wystukiwał takt i patrzył na Zofję. Adonis maszerował z kieliszkiem w ręce.

Franek wycofał się w kąt pokoju. Niech im się stąd napatrzy, niech już wszystkiemu przyjrzy się własnymi oczami! Właśnie Ola pokładała się na tapczanie i poduszkami ciskała w Adolfa, a matka wybuchala głośnym śmiechem, gdy ją Kazimierz całował w ramiona, nibyto broniąc się, nibyto nienawykła do takiej śmiałości. Ciało Oli prężyło się i miękło, jak u glisty, a jej głos brzmiał, jak pisk fagotu, a czasem, jak pisk myszy.

— Zofjo, Zofjo, jeszcze trochę kawy, bo zdaje mi się, że jestem pijana!

Albo:

— Janku, śliczny chłopczyku, zdejmi mi pantofle! Wreszcie dostrzegła Franka:

— Kawalerze, trzeba dziś ze mną pogodzić się, naprawdę! Chodź, drogi, w moje objęcia! Zofjo, przyprowadź tu twojego syna, musimy się pocałować na zgodę!

I matka, jakby już zupełnie nieprzytomna, dawała mu znaki, żeby podszedł do Oli. Wreszcie chwyciła go za rękę i popchnęła ku niej. Na chwilę, jakby oślepił i ogłuchł z gniewu i, potknąwszy się o sfałdowany dywan, wywrócił się.

— Uważaj! — krzyknęła matka.

Ale już poczuł na twarzy gorące bryzgi kawy. Jazzbandowym wrzaskiem skłębili się śmiechy i gdy, jak w bójce, tarzano go po podłodze, czyjeś lepkie usta przykleiły się na moment do jego warg. Posłyszał gdzieś daleko, jakby pod sufitem, brzmiały głos matki:

— Widzisz, jaki z ciebie niezgraba, potłukłeś filiżanki.

I tak było, jakgdyby musiał tu klęczeć, jakby już nie powinien powstać i widzieć tych ludzi. To właśnie jest jego miejsce i jego pozycja w tem towarzystwie, tak już tu zostanie, sponiewierany i ośmieszony.

— No, wstań! — powiedziała matka i malutką, pachnącą chusteczką otarła mu twarz. Gdy poczuł dotknięcie miękkiego batystu, przypomniał sobie nagle jakiś dawny, dziecinny płacz. Może upadł, może o coś kaprysił, ale tak samo chłodną chusteczką, niby kwiatem, muskała matka jego policzki i coś, co nie było wtedy podjęte uczuciem, co zdawało się zgubione i nazawsze przepadłe, odnalazło się teraz i targnęło sercem.

Tak tu naprzeciw siebie klęczeli na dywanie i Zofja dla zalotnego żartu, dla popisu przed Kazimierzem, przemawiała do syna zdrobniałymi wyrazami, niby do małego, skrzywdzonego dziecka. Nie wiedziała wcale, że chusteczką ścierała łzy, że ten jej duży syn płakał naprawdę, rozczulony jej udawaną czułością. Dopiero, gdy ją objął i, przytuliwszy się do jej szyi, powiedział cichutko i płaczkliwie: „Mamo, mamusiu...” — dopiero wtedy pojęła, że dzieje się tu coś, na co może nie powinien patrzeć jej syn. Ale gorąca od innych wzruszeń, przygarnęła go do siebie, szepcząc mu do ucha:

— Bądź grzeczny, Franusiu, przecież się tylko tak bawimy wesoło.

I choć myślała, że Franek jej psuje zabawę, że jest, doprawdy, niemożliwy, czuła, że nie jest w porządku. Nie umiała jednak rozdzielić siebie — ważniejsza była teraz emocjonująca gra z Kazimierzem, niż tkliwość dla tego dużego głuptasa. Tamci już znowu czegoś głośno się cieszyli i Ola wszystkich trzech zagarnęła dla siebie, bo nawet Kazimierz był przy niej i patrzył na nią tak, jakgdyby właśnie ona mu się podobała. Jego piękne oczy, już zdobyte przez Zofję i już dla niej tylko rozplamione podnieceniem, patrzyły teraz na Olę. Zofję zamroczyła gorycz i zażdrość. Nikt przecież nie zauważył jej karesów z synem, jej ślicznych póz, a syn oblewał jej szyję łzami i mamrotał jakieś nieprzydatne, rozżalone słowa.

— Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju, bo zobaczą, jaki jesteś śmieszny i dziecinny!

W pokoju Franka oddychało się chłodnem, czystem powietrzem i słychać było stłumiony gwar głosów, niby zapowiadający coś pomruk za sceną. Odrazu musiało się inaczej myśleć o wszystkim, co działo się

za ścianą. Frankowi wydawało się, że to było coś nieprawdziwego, wyreżyserowanego, niby widowisko, a teraz wrażenie mijało, jak po zapuszczeniu kurtyny. Zofja natomiast sądziła, że trzeba to jakoś wyjaśnić synowi. Więc nieco pogardliwie mówiła o tamtych, że chyba pili za dużo, zwłaszcza Ola. Najlepiej było teraz całą winę zwalić na Olę, bo i tak czuła do niej żal. Wiedziała przecież, że jest zaborcza, że jest młodsza i aż nadto zuchwała. Niełatwo było dotrzymać jej kroku i Zofja odczuwała już zmęczenie. Jak gracz, stawiający na ostatnią kartę, Zofja stawiała na ostatnią godzinę swojej urody — zapalczywie i bez namysłu. Mówiła sobie: — Tyle jeszcze, i jeszcze trochę, i wszystko, czem jeszcze rozporządzam. — Zato Ola była przezorna, mimo zuchwalstwa, i przyznawała się przyjaciółce: — Trzeba zręcznie i chłodno. Nie wolno nam nigdy tracić głowy. — I dlatego było Oli właściwie wszystko jedno: — Adolf, czy Kazimierz. A gdy to sobie układała z przemyślną kalkulacją, stawała się bezwzględna i drapieżna.

Zawiść, jak narkotyk, podburzała ambicję Zofji. Zaniechała teraz wszelkich ostrożności, bo trzeba było przelicytować sposoby Oli, trzeba już było poprostu — walczyć.

— Muszę do nich pójść... nie wypada.

— Zostań — prosił Franek — może już odejdą.

Na szybach szarzał świt i na chwilę stało się cicho i sennie.

— Jestem bardzo zmęczona — przyznała się — bardzo mnie ten wieczór zmęczył.

Gdy tak siedziała drobna i jakby w sobie zapadła, gdy z przymkniętymi oczami, jak w niespokojnym śnie oddychała szybko — Franek pomyślał znowu, że jest niemądra. Powinno się nią kierować, trzeba by czuwać nad nią, choć niby to taka doświadczona i znająca życie.

Nagle cicho otworzyły się drzwi i na palcach, udając ostrożność, żeby śpiącej nie zbudzić, weszli goście. Pierwsza, kołysząc się, żeglując rękami, jak baletnica, kroczyła Ola, a za nią panowie, robiąc głupie miny. Potem odrazu głośno i krzykliwie, jak kołędnicy, zaintonowali kolędę. Zofja zatrzepotała śmiechem i przesadną wesołością.

— Już się żegnamy, bo gospodyni śpiąca — Ola porozumiewawczo mrugała na Kazimierza.

— Nie, nie! — broniła się Zofja — chciałam trochę odetchnąć świeżym powietrzem, bo te cygara pana Adolfa...

Ale cokolwiek mówiła na usprawiedliwienie swoich gospodarskich zaniedbań, nie mogło już zmniejszyć tego, że Ola tuliła do swojego biodra Kazimierza. Wynosiła go niemal z mieszkania, jak barana pod pachą.

Pokój Zofji trzeba było wywietrzyć przed snem, więc posiedziała jeszcze u Franka, zmywając spirytusem szminkę z twarzy. Franek patrzył, jak bieleje, niby w omdleniu, jak płowieją jej oczy, a usta ściągają się w grymas powagi i zaciętości. Tak się tu przemieniała, jak królowa, którą przeklęła zła wróżka. Szarzała i smutniała pod kolor ranka, zmatującego właśnie blask żarówek. Franek przypomniał sobie, że mówiła mu kiedyś: „jest się wewnątrz takim, jak się wygląda”. Więc naprawdę jest szara i bezbarwna, jest mdła i senna, smutna i zmęczona. Tamponikiem waty ścierała tamtą, udawaną wesołość, udawaną zalotność, ścierała z uważną obowiązkowością, jakby spełniała jakiś przedziwny ceremoniał nad sobą. I napewno zapominała teraz o wszystkim, co mówiła i robiła wtedy, gdy jej policzki pokrywał rumieniec, a wargi czerwieniły się od pomadki. Gdyby jej wypomniał swój wstyd, nie chciałaby z pewnością wierzyć, że to była ona, ta sama. Tamtej mógł więc nie wybaczyć, lecz tej tu nie ma nic do zarzucenia. Jest jakby bez winy, a może nawet sama tamtą — potępia? I tak należałoby raczej pomówić o tamtej, wspólnie zastanowić się nad śmiesznością i niestosownością jej zachowania się.

— Już dzień — powiedziała Zofja — trzeba pospać trochę.

Ale Franek nie był śpiący, choć myśli jego miały pozór dziwnego snu. Były tak samo męczące i natarczywe. Chciał natychmiast sprawdzić, aby wiedzieć, czy tak jest wistocie, czy teraz jest inna; czy tamta — czy ta obecna jest prawdziwa. Od stwierdzenia tej przemiany zależało bowiem tak wiele, niemal wszystko. I niby sędzia śledczy, zaskoczył matkę chytrem pytaniem:

— Kto to jest ten pan Kazimierz?

Przytrzymując ją wzrokiem, niby mocnemi rękami, zobaczył, jak na jej białych policzkach zaświecił się rumieniec. Powiedziała wprawdzie, że to taki bogaty pan, przyjaciel Adolfa i nawet dla zbagatelizowania całej tej sprawy lekko ziewnęła. Ale Franek już jej nie ufał, a te odśrodkowe łuki, które kreśliły jej palce, wcieraające krem w policzki, wydawały się znakami czarnej magji. Coś tu spełniała czarodziejskiego, aby znowu rozkwitnąć i barwami nęcić czyjeś oczy. Była przecież zawsze jedna i ta sama, skoro jedno i to samo miała serce, jedną i tę samą krew. Jakby nagle dostrzegł jej kobiecość, ową skrytkę zagadek i tajemnic, które go tak długo niepokoiły, i sam splonął krwią, która, jak przyływ morski, przelewała się poza granice brzegów — poza granice synowskich uczuć. Przerażony, spychał z powrotem niepomysłaną myśl i przygaszał żar pogardą dla matki i dla siebie.



M. H. SZPYRKÓWNA

SPOSOBY I ŚRODKI

Jakie są sposoby „propagandowe”, w sensie zjednywania dla Polski cudzoziemców, którzy do niej przypadkowo, czy celowo przybyli? Oczywiście, mówiąc o tych propagandowcach, którzy działają na własny rachunek, nie wspierani ani budżetami, ani zaszczytami oficjalnymi; ot, poprostu — ludzie dobrej woli, którym zjednywanie dla Polski placówek sympatii zagranicą własnym wysiłkiem jest strategią, jedynie dostępną?

Metoda pogładowa zawsze jest najlepsza. Wybieram parę listów (w skrótach) z korespondencji jednej z takich właśnie pro-polskich propagatorek, która to czyni od lat, pocichu i, zaiste: „Polsce, nie komu!...” Szanując jej bezimiennność, której zażądała, jednak piszę o tem dlatego, że wycieczek do Polski coraz jest więcej, a szablon ich przyjmowania jest coraz bardziej zabójczy, nie stając się przez to bynajmniej pożądaną rutyną. Owszem, pozostają dyletanckie. Traktuje się oprowadzanie, jako obowiązek, który się zrzuca z ramion z odwozującym gości pociągiem. Ale też i trwałość wrażeń u cudzoziemców kończy się z chwilą wyjazdu, lub niedługo potem. Ileś włożył, tyle masz!

Jakże zacieśnić węzły? Jak z przelotnych znajomości zrobić polskie placówki? Jak cudzoziemca zobowiązać ponad zwykłą normę, skoro przyjaciół potrzebujemy także więcej, niż zwykle?

Oto pierwszy list — po wycieczce bułgarskiej do Polski:

„...Dawno już miałam napisać do drogiej Pani i podziękować za jej mile listy! (a więc owa „pani” pisała pierwsza i to kilkakroć: zauważmy). Ale chorowałam na grypę w ostrej formie. Śliczne pocztówki z tak serdecznymi słowami (zauważmy!) doręczyłam naszym paniom z wycieczki: były ogromnie ujęte i kazały gorąco Pani podziękować: z pewnością do Pani napiszą same. Po odebraniu listu od Pani, panie bułgarskie złożyły mamie wizytę, aby te listy mogła im przeczytać (pisze młoda polka, od lat zamieszkała w Sofji). Odbyło się więc u nas uroczyste posiedzenie. Rozmawiano tylko o Polsce i o przeszło-rocznym zjeździe w Warszawie: panie bułgarskie nie mają dość słów dla gościnności, jaką im tam okazano. Toteż proszą mnie, abym napisała, że drobiażdżki, które wysłały dla polskich pań po powrocie, to tylko mały wyraz sympatii i szczerego podziwu, jaki dla Polski czują. Pragną, jak i Pani, aby ta przyjaźń wzajemna nie skończyła się na wymianie konwencjonalnych uprzejmości, ale istotnie zacieśniła zbliżenie między dwoma bliźnimi narodami. Obie z siostrą marzymy o przyjeździe do Warszawy: za radą mamy, spędzimy tam całe lato, aby zapoznać się z polską kulturą i sztuką, którą Warszawa, oczywiście, zapewne najwięcej skupia. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła tam Panią zastać i raz jeszcze jej podziękować”.

Więc nic niezwykłego: tylko serdeczne zajęcie się wycieczką bułgarską i wypatrzenie niejako sobie sprzymierzenki w rodaczce, która pod tym wpływem

odnawia trochę słabnące węzły polskości (w oryginale list jest pisany z cudzoziemska). Kilka pocztówek, posłanych do uczestniczek wycieczki, trochę miłych słów.

Mijają czasy.

Ale oto wybucha klęska w Bułgarji: trzęsienie ziemi: zbierają się składki. Okazja! Czytamy drugi list od tej samej milej korespondentki:

„...Zapomogę 500 fr szwajcarskich i piękny list Pań z podpisami wręczyłam. Zaraz też poszłyśmy razem z przewodniczącą komitetu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i złożyłyśmy tam w imieniu Pań nadesłaną sumę. Wyrażono tam Paniom wielką wdzięczność i powiedziano, że wyślą osobno list z podziękowaniem. Nazajutrz w dziennikach Sofijskich było wydrukowane o tym szlachetnym czynie Pań Całe towarzystwo bułgarskie jest pełne wdzięczności i uznania za wielką akcję humanitarną dla malutkiej i bardzo biednej w tej chwili Bułgarji. A nas, którzy to na każdym kroku słyszymy, napęlnia i radość, i dumal”

A oto list autentyczny pań bułgarskich (przewodniczącej) w odpowiedzi na owe franki szwajcarskie z Polski:

„...Jakiemi słowami mam wyrazić naszą wdzięczność i za pomoc, nam okazaną, i za nieskończenie ujmującą formę, w jaką ją Panie przybrać umiały?... Pamięć o nas, tak wspaniale okazaną po przelotnej wycieczce naszej do Polski, nie może znaleźć równoważnika w najpiękniejszych słowach. Prześliczne pocztówki z podpisami Pań przypominają nam raz jeszcze ujmującą gościnność, z jaką Polska naszą małą delegację podejmowała: zostawiła ona w nas wszystkich najśloneczniejsze wspomnienie i dążenie zwłaszcza, aby kobietę polską poznać bliżej i lepiej. Wiemy już, że jest wielką patriotką i że pracuje dla swego kraju. Widziałyśmy ją w laboratorjach, w szpitalach, w teatrze i salonie, a nigdzie nie zatracła właściwego sobie wdzięku, subtelności i kultury. Wasze muzea, pałace, zabytki i pomniki mówią o wielkości waszego kraju: ale wielkością waszego narodu najistotniejszą jest wasza kobieta! Kiedyś zdarzyło mi się zetknąć z pewnym młodym chłopcem z Polski, studentem w Sofji: jakże ten chłopak uwielbiał swoją matkę! Ona-to nauczyła go kochać swój kraj, mimo że było w nim ciężko, ona zapoznawała z historją i literaturą w czasach, kiedy nie wolno było tego robić i nawet mowa polska była zakazana! Dotąd, myśląc o polkach, myślę i o matce tego chłopca: takie jesteście!”

Ażeby nie sądzić, że kontakt propagandowy, o ile idzie z serca, nie znajdzie pola we wszystkich sferach jednakowo: oto list z Brazylii.

„...List, książeczkę i święty obrazek dostałem, za które po wielokroć dziękuję. I cieszę się, że przynajmniej jedna osoba (zauważmy!) z tych, do których się zwracałem po wyjeździe z Polski, nie pogardziła mną i nie zapomniała o nas na obczyźnie: zapewne poczytują się za więcej wykształconych odemnie. To prawda, że w polskim języku mam mało wykształcenia: wtedy nie było tu jeszcze szkół polskich, jak teraz i po kolonjach, i w Kurytybie...”

Następuje dużo ciekawych szczegółów miejscowych, zakończonych raz jeszcze podziękowaniem, że

„inteligentka“, a nawet jedna ze znakomitszych pań, nim „nie pogardziła“. Przykro! Przykro, że polak, przybywający tu do braci aż z Brazylii, tak czuć może! Cóż, kiedy na kilka listów nie dostał żadnego — jak to u nas!

A o czym pisze, na przykład, ta nieposkromiona propagatorka do westfalczyka-polaka, którego nie życzy sobie wypuścić z orbity polskości?

Czytajmy:

„...Najprzód to Wielmożną Panią pozdrawiam. I dziękuję kilkaset razy za kalendarz, który mi przysłała. Kalendarz i list dostałem zaraz na początku miesiąca. Pisze Pani łaskawa rozmaite rzeczy, i przyznam się, że mnie zainteresowały bardzo mocno. Naprzykład pisze Pani, że ceny w Polsce na chleb i na masło teraz są...“

Następuje wyczerpujące zestawienie, uwagi o monopoli tytoniowym tu i w Niemczech, porównanie warunków pracy, aż wreszcie koniec powiadamia nas, że:

„...Zarazem donoszę, że teraz często słucham radja z Katowic: ostatni Sejm było bardzo dobrze słyhać i uważałem wszystko, jak przemawiał pan Bartel. A więcej już niema nic takiego. Tylko jeszcze raz Pani łaskawej bardzo dziękuję za pamięć i ten kalendarz, i z pozdrowieniem zostaje...“ Podpis

Tyle narazie słów ku rozwadze. Dodam tylko, że wszystkie te pocztówki, znaczki, obrazki, książki i kalendarze, nie licząc najważniejszego: celowo i indywidualnie pomyślanych listów — pisze i wysyła kobieta, przez cały dzień obciążona domem i rodziną, która na eksport pieniędzy bynajmniej nie ma, subsydjów (niestety! niestety! tu byłyby na miejscu) — nie dostaje, i nawet — nazwiska nie pozwala podać. Ale może to i lepiej? Może ta bezmienność prawdziwie obywatelskiej propagandy poruszy serca, które ją rozumiały dotąd inaczej — i coś się stworzy nowego i dobrego, jakiś Związek Propagandy Narodowej, pod wspólnym imieniem: Polki dla Polski?...

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

TEATRY PARYSKIE

Kilka słów o czcigodnych staruszkach: „Operze paryskiej“, „Komedji francuskiej“ i „Odeonie“. Nowe prądy teatralne w „Atelier“, „Athénée“, „Comédie de Champs Elysées“ i u Antoine'a. Dreszcze „Grand-Guignol'u“. Operetka paryska. Autorzy dramatyczni, a manja wojenna. „Journey's End“ w teatrze Edwarda VII. „Amphitryon 38“ w Champs Elysées. Teatr polski w Paryżu i jego poczynania.

Będąc w Rzymie, należy widzieć — Papieża; w Wenecji — gołębie na placu św. Marka; w Monte Carlo — roulette'ę, a w Paryżu: kilkanaście muzeów, wieżę Eiffla, wielkie magazyny, Notre Dame i... Operę!

Opera zachwyca zawsze frontonem i słynnymi rzeźbami Carpeaux, zachwyca pięknem foyer i schodami i... na tem koniec. Pozatem staruszka daje same rozczarowania, dzięki zaśniedziałej rutynie, zniszczonym dekoracjom i miernym siłom śpiewaczym. Wagnerowski Zygryd był źle śpiewany, Faust również, a Carmen'y (nauczona doświadczeniem) poszłam służyć do Opéra-Comique, gdzie baryton mnie oczarował, a Carmen zachwycała gorącym kolorytem głosu i gry.

Tak się przedstawia Opera, a co słyhać z pierwszą sceną francuską, z „Comédie française“ i ze sławnym „Odeonem“? To samo. Teatry te porównać można do... premjowanych piękności, które mają ustaloną renomę, ale zestarzały się i... straciły piękność. Po przedstawieniu komedji Antoinette'a Sabrier — wychodzi się z „Comédie française“ z całkowitą aprobatą prasy francuskiej, która domaga się... kompletnej reorganizacji tego teatru, zmiany zarządu etc.

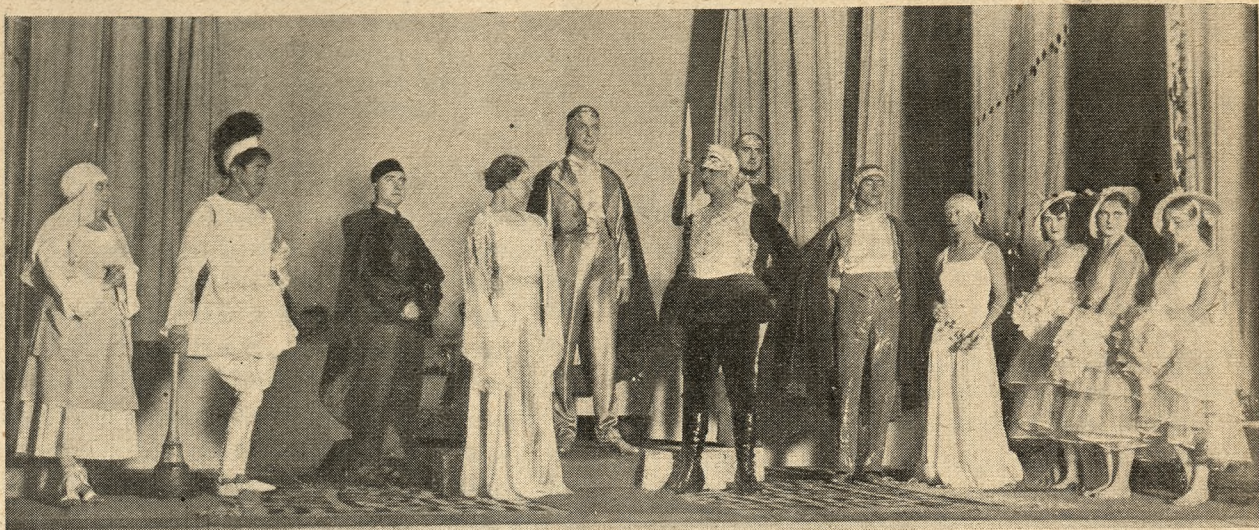
A „Odeon“: ten szerniały staruszek, ukryty w ciasnych uliczkach dzielnicy łacińskiej, sąsiadują-

cych z Sorboną, Panteonem i Ogrodem Luksemburskim?

Trudno uwierzyć, że ta druga scena francuska nie posiada w roku 1930 sceny rotacyjnej i nowoczesnych dekoracyj. A jednak tak jest. Pajęczyny oplatają żyrandole, widownia przypomina stare „Rozmaitości“, dekoracje mają na płótnie malowane lustra i komody (!) a podczas antraktu słyha się nieodzownego stukotu, towarzyszącego zmianom dekoracyj. Na tem tle jednak — grano tak, że zapominało się o niedoborach. Ludzie żyli, kochali, cierpieli i śmieli się... A wszystko to było tak „poprostu“ i tak „naprawdę“, że zblazowana publiczność paryska... płakała.

*

Jednym z najciekawszych teatrów „eksperymentalnych“ jest „Atelier“. Sama już nazwa „Atelier“ (pracownia) wskazuje na to, że jest to raczej studio artystyczne, w rodzaju naszej „Reduty“, niż teatr w całym tego słowa znaczeniu. Ramy są skromne, dekoracje również, ale wszystko ma cechy wybitnie swoiste o wysokim poziomie artystycznym. Na tem tle artyści grają śliczną bajkę renesansową: „Volpone“ — bajkę, która pociąga Paryż od 1½ roku i wypełnia codziennie widownię... do ostatniego miejsca; bajkę, która składa się z szeregu barwnych, stylowych scen. — z galerji groteskowych figur, odniechcenia



Przedstawienie sztuki „Amfitrion” w teatrze Champs Elysées w Paryżu. Udział biorą wybitni artyści francuscy oraz jedyna polka Maneta Radwanówna (5-ia od prawej ku lewej).

naszkicowanych, lecz zadziwiających trafnym rysunkiem charakterów; bajkę niezwykłą — nieznaną przeżyć i sytuacji, sięgających do najgłębszych pokładów duszy ludzkiej. A to wszystko podane jest w formie lekkiej, frywolnej, powierzchownej, przystępnej, pociągającej.

Temi samymi śladami postępu, zadowalniającego subtelne wymagania artystyczne współczesnego widza, kroczą teatry: Antoine’a „Athénée”, „Comédie de Champs Elysées”, „Teatr Edwarda VII” i kobieca „Femina”.

W wędrówce po najwięcej charakterystycznych teatrach Paryża nie można nie wspomnieć o starym Grand-Guignol’u, który od kilkudziesięciu lat budzi dreszcze zgrozy w słuchaczach. Teatr sam mieści się w dawnej kaplicy gotyckiej. Odrzwia, futryny i sklepienia są najlepszym tego dowodem. Scena podczas antraktów zaszuwa się dębowymi zaworami o pięknych okuciach. Publiczność siedzi w ławkach kościelnych (na szczęście, niema klęczników!). Łoże mieszczą się w konfesjonalach, a galerja znajduje się na... chórze organowym. Ten „entourage” nastraja...

Program składa się z kilku sztuk; mają one wywoływać naprzemian paroksyzmy śmiechu i budzić dreszcze zgrozy. Niezwykła ta kąpiel duchowa — na zmianę gorąca i lodowata — wywołuje specjalne wrażenie — nie powiem, żeby zbyt fortunate. Powiedziałabym, że ze śmiechem teatrówi temu jest znacznie więcej „do twarzy”, niż ze... zgrozą. Mój Boże!... w roku 1930 już nie tak łatwo nas przerazić, a melodramat z trupami, wstającymi z grobów, z wyciem wiatru, obcinaniem piersi i wylupywaniem oczu, nie wstrząsa nas już tak, jak wstrząsał nasze... babcie. Na tle bizantyńskich, cerkiewnych kopuł grany jest dramat (1 otrucie, 1 zgwałcenie i 1 uduszenie), dramat, którego bohaterki, panie z inteligencji, chodzą w długich butach, kokosznikach i sarafanach, a chińczyk-szpieg

zawodzi głosem typowego paryskiego „gavroche’a”. Artyści grają dobrze, może nawet bardzo dobrze. Potrafią nas rozśmieszyć do łez. Szkoda tylko, że melodramaty, niefortunnie wybrane, budzą dla kontrastu... śmiech!

*

Operetek Paryż posiada kilka. Z tych „Mogador” cieszy się największym powodzeniem. Operetka „Rose Marie” grana była przez... 2 lata (wyraźnie: dwa lata), dzień w dzień, a obecnie grane „Hallelujah” osiągnie zapewne niemniejszy rekord długości. Tajemnica leży w melodyjności operetki, w grze artystów, w trickach (za którymi francuz przepada) i w tańcu solowym i zespołowym. Głosy słabe... Niema ani Kaweckich, ani Messalówien... Jest M-lle Cloé Vidiane — urocza M-lle Cloé Vidiane, mająca głosik, a nie głos. Jest M-r Burnier — jej partner — którego nie słycać na tle orkiestry. Francuzi nie mają głosów... mają za to humor. Przytem mają tancerki takie, jak M-lle Roberts, która tańczy na tle olbrzymiego, płomiennego wachlarza, tańczy, i gniewa się, i wiję w paroksyzmach temperamentu! Tańczy i... olśniewa cały Paryż!

*

A teraz... teraz chciałabym trochę pomówić z kolei o... autorach dramatycznych. Wygląda to paradoksalnie, jednakże, jeżeli mam mówić o autorach — muszę mówić jednocześnie i koniecznie o... wojnie! Tak, o wojnie! Taka moda nastała, której ulegli wszyscy sławni i wielcy, mierni i mali autorzy dramatyczni, że chcą pisać tylko o froncie, o szczęku karabinów, o rannych, zabitych, o okopach i maskach przeciwgazowych... Szczęśliwie — jeżeli tymi autorami będą talenty tej miary, co niemieccy: Remarque i Fritz von Unruh, francuski Dorgelès, lub angielski Sheriff. Jeżeli jednak zaczną pisać każdy, kto nosił hełm szturmowy, każdy, kto przeżył w okopach kilka miesięcy, i każda, która była sanitariuszką, choćby przez 2 tygodnie

— to doprawdy... nie dziwię się, jeżeli redaktorom pism, wydawcom i dyrektorom teatralnym zbraknie cierpliwości i wytoczą... wojnę tej modzie wojennej! Narazie jeszcze niema oficjalnie wypowiedzianej wojny — ale są już jej zapowiedzi — burzy się mianowicie krytyk francuski M-r Paul Chauveau, wobec nadsyłanych mu setek rękopisów.

„Théâtre Edouard VII“ gra sztukę Sheriff'a: „Journey's End“, która w tłumaczeniu francuskim brzmi: „Le grand voyage“, w polskim: „Kres wędrówki“.

Paryska widownia przenosi się codziennie wieczorem w teatrze Edwarda VII do... Saint Quentin, cofa się do roku 1918 i aż do czwartku rano 18 marca — żyje razem z oficerami „compagnie en ligne“ i czuje całą grozę wojny, ludzkiego bólu i krzywdy niepowetowanej. Jeden M-r Benjamin Crémieux nie budzi współczucia — gra on po mistrzowsku „normalnego“ człowieka, który przeżywa okres wakacyj na świeżym powietrzu, rozkoszując się próżniactwem i brakiem kłopotów pieniężnych. Ten oryginalny i miły pogląd na wojnę M-r Crémieux nie znajduje aprobaty u publiczności paryskiej. Nikt nikomu, wychodząc z pięknego teatru, nie życzy „takich“ wakacyj, nawet, nawet samemu M-r Benjamin'owi Crémieux.

*

Jeżeli mamy mówić o najwybitniejszych sztukach repertuaru paryskiego — nie możemy nie wspomnieć o „Amphitryon'ie 38“, Jean Giraudoux — którego gra „Comédie des Champs Elysées“. Prześliczny ten teatrzyk jest ostatnim wyrazem postępu i piękna. Znajduje się w alei, łączącej Champs Elysées z placem Alma, i patrzy frontonem na perspektywy wysadzone drzewami, na Sekwanę i plac, na którym stoi pomnik Mickiewicza. Wewnątrz teatr przypomina nasz „Narodowy“, — jest piękny w kolorycie, kształcie i oświetleniu. Białe marmury klatki schodowej ożywiają ściany, obwieszane obrazami. Publiczność, idąca na przedstawienie i wychodząca z niego, jest jednocześnie na... wystawie sztuk pięknych i często zatrzymuje się, by się przyjrzeć, dowiedzieć o cenę i kupić obraz. Podaję to do wiadomości Teatrów Warszawskich, czy nie można byłoby wykorzystać ku ogólnemu zadowoleniu widzów, artystów-malarzy i budżetów teatralnych — klatek schodowych, np. Teatru Polskiego?

A teraz — o sztuce „Amphitryon 38“ M. Giraudoux. Czy rzecz ma się o wojnie? Do pewnego stopnia — tak; wojna ta jednak odbywa się... w Tebach (temat nieaktualny). Jenerał Amphitryon nie bierze udziału w bitwie nad Marną (Shoking!). Poza tem autor mówi w sztuce o takich uczuciach, o których można mówić... przy młodzieży, to znaczy: o miłości ojczyzny, o ukochaniu sztuki przez artystę, o miłości żony do męża i męża do żony! To wszystko, zdawałoby się, powinno sztukę zabić! Tymczasem — rzecz

się ma odwrotnie. Pomimo tak niekorzystnych warunków M-r Giraudoux — zwycięża! I to jak zwycięża! Stara historia Alcmeny i Amphitryona — tych wiernych sobie małżonków i szalejącego z miłości dla Alcmeny — Jupitera, w ujęciu M. Giraudoux — rewolucyjnie zmienia piękną legendę grecką w utwór swoisty i „renouvelé“, jak mówią francuzi. DIALOG płynie ze sceny rwącym potokiem; jest uosobieniem poezji w prozie i reformatorskim buntem wobec współczesnej nonszalancji językowej i mody używania „żargonu codziennego“.

Dyrektor teatru „des Champs Elysées“, M-r Jouvett, uznany jest przez krytykę za człowieka, który rozwiązał problem komedji francuskiej i zajął miejsce wybitne, jako rewolucyjny reformator teatru. Sztukę grają artyści tej miary, co Renoir (Jupiter), Allain-Durthal (Amphitryon), M-lle Bogaert (Leda) — Alcmenę gra M-lle Valentine Teissier — to znaczy, że ze sceny splywa czar poezji, niewinności i głębokiego uczucia. Do teatru, zajmującego tak czołowe stanowisko — zaangażowano polkę — pannę Manetę Radwanównę. Piękne warunki zewnętrzne, ogromna naturalność gry i kompletne opanowanie dykcji francuskiej wróżą tej młodziencek artystce dużą przyszłość w artystycznej stolicy świata.

*

Muszę tu wspomnieć jeszcze, o poczynaniach „Miłośników sceny Polskiej we Francji“, którzy znaleźli sobie przygodną siedzibę w sali „des Ingénieurs Civils“ i starają się dać stęsknionym za krajem polakom „żywe słowo“. Artyści tego teatru rekrutują się po większej części z byłych artystów scen krajowych, jak np. p. Halina Bruczówna, Benda, Choroszczo i inni. Przewidziane są w toku sezonu gościnne występy znakomitych artystów scen polskich, ale co do tego, mam pewne wątpliwości. Repertuar zaczerpnięty jest ze znanych arcydzieł naszej literatury dramatycznej, jak np. „Sublokatorka“ Grzymały-Siedleckiego, „Szczęście Frania“, ze sztuk Fredry, Korzeniowskiego i t. d.

Ramy są bardzo skromne, a przedstawienia mają raczej charakter przedstawień amatorskich. Publiczność jednak wyrozumiale i serdecznie odnosi się do tych artystycznych wysiłków, patrząc na placówkę polską oczami emigranta, stęsknionego za mową ojczystą. Darowuje więc, że bezpośrednio po „Legendzie o oczach Boga“ — młodego poety i artysty dramatycznego, Tadeusza Żeromskiego — „Teatr Polski“ w Paryżu każe nam słuchać... „Szczęścia Frania“ i widzieć tych samych artystów, przerzucających się z konieczności i niezbyt udatnie w krańcowo odmienne role. Darowuje to, patrząc na te rzesze, źle już mówiące po polsku, i, zasłuchana w żywe słowo, płynące ze sceny, wdzięczna jest Tow. Mił. Sceny Polskiej za teatr, który serdecznie pokochała.

BLASKI I NĘDZE ŻYCIA KOBIECY

Jednym z ważnych momentów naszego wyzwolenia jest zabranie głosu przez kobiety w literaturze. Nie znaczy to, aby dotychczas o kobiecie nie pisano. Przeciwnie. Literatura świata bez przerwy rozszczepiała na czworo każdy przejaw naszej psychiki. Czynieili to jednak albo mężczyźni, albo kobiety, zasugerowane ich poglądem na jej dodatnie i ujemne wartości.

Dziś literatura ma pióra kobiece poza wszelką konkurencją. Są one bezpośrednim wyrazem nowych przejawów duszy kobiecej na tle współczesnej epoki.

Jest jednak książka poza walorami błyskotliwej beletrystyki, kinematograficznym tempem myśli i współczesnością tak świeżą, że aż jaskrawą posiadająca jeszcze inne — najbardziej dla nas cenne i ważne.

„Świat Kobiecej“ Marji Grossek-Koryckiej. Jest że to literatura dzisiejsza? Bezwzględnie — tak. Wczorajsza? Również — tak.

I w tem tkwi właśnie jej racja bytu, dobrodziejstwo i zasługa.

Grossek-Korycka spojrziała na świat kobiecej z wysokiej przełęcz przelomowego momentu. W polu jej widzenia znalazły się rzesze kobiet, w mozolnej wędrówce poprzez ubiegłe wieki dźwigające się ku wyzwoleniu. Świetnym okiem psychicznego ostrowidza autorka ogarnęła również skłębioną masę kobiet, porażających się z przyswajaniem i segregowaniem dzisiejszych zdobyczy.

Wykazuje plusek i minusy dawnej, „staroświeckiej“ egzystencji. Dostrzega i przenika wszelkie nowe wartości, klasyfikując je, jako ulgi i obciążenia, nie z punktu widzenia placówek emancypacji, ale jako rzeczywiste ujemne i dodatnie czynniki rozwoju kobiecej. W tej wędrówce analitycznej poprzez warunki naszej egzystencji dziś i wczoraj — Grossek-Korycka poczyniła odkrycia zdumiewające.

Obnażyła nas ze wszystkich osłon, narzuconych przez urabiany od wieków charakter, warunki bytu i mężczyźnę.

Rękę tę, stawiającą nas pod pręgierz ciekawych spojrzeń całego świata, możnaby nazwać okrutną, gdyby nie była tak bardzo miłującą. I gdyby z bezwzględnością obiektywizmu zostawiła nas bez drogi wyjścia. Droga ta jest. Raczej: drogi te są, gdyż nie wytyka ich wspólny wszystkim szablon — tylko moralny kompas, dostosowany do warunków bytu i poszczególnych indywidualności. A wszystkie mają podwójny cel: *użyć kobiecie i świat uczynić lepszym przez kobietę.*

Ostrzej, niż Weininger i Nietzsche, łagodniej, niż ona sama mogłaby siebie osądzić — brzmi wyrok autorki o kobiecie.

Zżeranie się wzajemne, dzięki czemu kobieta o

własną pleć umacnia męski antagonizm, zapełnia najboleśniej dla nas stronie tego dzieła.

Wyjaskrawiona wrogość i siła namiętności męczyzny traci w niem swoje, dotychczas w opinii utarte podstawy, zyskując nowe i nieoczekiwane dla nas punkty ciężkości. W naszej jednakże mocy jest przywrócenie spokoju „bełkoczącemu, rozfalowanemu morzu niedoli kobiecej“, omywającemu egoistyczną, ukwieconą wysepkę szczęśliwych wybranek losu i — męczyzny.

Koniecznym jest to uczynić dlatego choćby, że w słońcu tego morza odnajdziemy niejedną z naszych łez.

Dlatego *wszystkie* powinnyśmy przeczytać tę książkę. Dlatego każdą jej stronę powinnyśmy przedyskutować nie tylko między sobą, ale i z tym, na którego padły od tego dzieła nowe światła i nowe cienie, który jest w dalszym ciągu osi naszą egzystencji — mężem, kochankiem, bratem, ojcem, synem — *partnerem życia* — męczyzną.

Z TEATRÓW

Teatr Ateneum: „Karol i Anna“, sztuka w 5 aktach Leonharda Franka, przekład Jacka Frühlinga, reżyserja Janusza Strachowskiego, dekoracja Eugenjusza Pozedy.

Nad teatrem Ateneum ciąży kompleks zmory. Jest coś chorobliwego w tej skłonności do sztuk ponurych, jednostronnie traktujących rzeczywistość pod kątem freudyzmu („Bronx-Express“, „Karol i Anna“) lub okropności („Józef“, „Hinckmann“). „Podhale tańczy“ było oazą na tej pustyni klęsk i dopustu bożego, gdzie ludzie konają z głodu i pragnienia pod nie-miłosiernym słońcem trawiących się w sobie namiętności.

Być może, że jest to ząbkowanie repertuarowe, choroba dzieciństwa, jaką przechodzi teatr młody, o założeniach ideowych i ideologicznych, może nie dość mocno związanych w jeden pion z kręgosłupem artystycznym. W każdym razie z tą chorobą trzeba waleczyć tem energiczniej, że Ateneum nie jest teatrem wyłącznie eksperymentalnym, ale społecznym, przeznaczonym dla szerokiej warstw. Masowe podawanie narkotyków rzeszom o świeżej, niezblazowanej wrażliwości zagraża jej spaceniem, co napewno nie leży w tendencjach sympatycznego teatryku, który z zapalem rzucił się do uprawy ugorów, dotychczas leżących odłogiem. Półroczne próby w tym kierunku mają jedną wadę organiczną: mijają się z celem. Ich wychowawczość w najgłębszym tego słowa znaczeniu budzi poważne wątpliwości.

„Karol i Anna“ należy do rzędu tych sztuk, w których aspiracje autora o wiele przerosły jego siły. Źródłem natchnienia jest znowu wojna, tym razem dramatyzowanie związanych z nią małżeńskich konfliktów, od których zachwiało się w posadach tyle rodzin wszędzie, a szczególnie w Niemczech, gdzie w imię polityki populacyjnej celowo rozmieszczano jeńców wojennych po domach opuszczonych „żołnierek“.

Tego drażliwego punktu autor, rzecz prosta, nie porusza. Sili się natomiast, żeby zjawiska naturalne i proste, choćby w nagości swej okrutne, ubrać w szatę demonizmu i fatalności. Ta niewczesna przybyszewszczyzna, ten sztuczny patos w momentach, kiedy życie krzyczy o prostotę i bezpośredniość, nie-

potrzebnie został podkreślony przez reżyserję, która kazała aktorom celebrować uroczyście to misterjum płci, zawołowane siedmioma zasłonami snobizmu.

Wśród wykonawców wysoką kulturą i powściągliwością efektów wyróżniła się p. Strońska; przedstawiciele dwu głównych ról męskich — Ryszarda i Karola — starali się, jak mogli, przekonać widzów o psychologicznej głębi swych bohaterów. Reszta nie wykraczała ponad poziom dyletanckiej przeciętności. Całość widowiska miała charakter ponurego koszmaru.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY WIEJSKIE ŁĄCZA SIĘ.

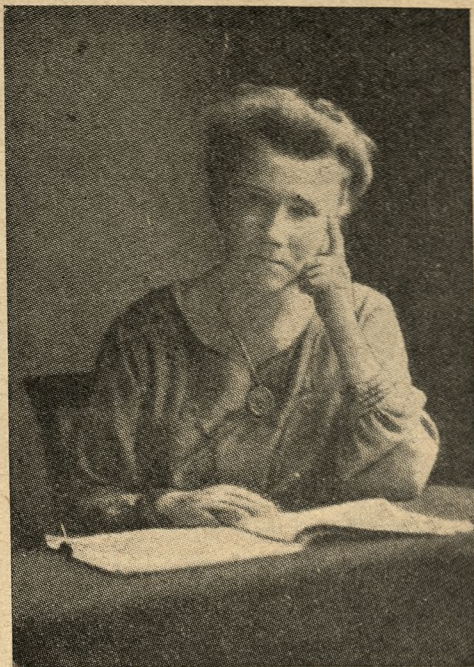
Dwie, oddzielnie istniejące, organizacje: Centralne Tow. Rolnicze i Kółka rolnicze, połączyły się, jak wiadomo, przed kilku miesiącami, w celu zjednoczenia swych prac na terenie gospodarczym i społecznym wsi. Intensywną działalność w tym kierunku prowadzi Wydział Kół gospodyń wiejskich. Rolą pracownic-kobiet jest właśnie łagodzenie wszelkich zatargów i podziałów partyjnych, fatalnie odbijających się na stanie gospodarczym i kulturalnym zagrody wiejskiej. Zaczęło też, po paromiesięcznej przerwie, wychodzić nanowo pismo kobiece, dawny „Głos do kobiet wiejskich“, przemieniony obecnie na „Przodownicę“. Pierwsze numery tego pisma, pod redakcją znanej działaczki, p. Karczewskiej, stanęły silnie na gruncie owego zjednoczenia wsi we wspólnej pracy dla jej dobra. Prócz tego „Przodownica“ porusza palącą sprawę stosunku młodzieży do rodziców i rodziców do siebie, oraz podaje obszerny dział sprawozdawczy, korespondencje i wskazówki gospodarcze.

W ŚWIETLICY.

Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna“ zorganizowało dla swych członkiń świetlicę, w której odbywają się stałe zebrania. Pierwszy wieczór poświęcony został odczytowi o Curie-Skłodowskiej; następnie wypełnią kolejno produkcje artystyczne, śpiew, muzyka i pogadanki. Zadaniem świetlicy jest stworzyć środowisko kulturalnej rozrywki i współżycia. Inicjatywa cieszy się dużym powodzeniem, garną się do świetlicy żony szeregowców policji, o co bardzo zarządowi chodziło.



Wieczór w świetlicy „Rodziny Policyjnej“.



P. Emilja Gourd.

JAK PRACUJĄ KOBIETY W LIDZE NARODÓW.

Do Komisji opieki nad dzieckiem w Lidze Narodów wybrana została szwajcarka p. Emilja Gourd, znana działaczka polityczna i społeczna. P. Gourd jest główną sekretarką Międzynarodowego Związku Praw wyborczych i pracy obywatelskiej kobiet, tworząc łącznik między tą instytucją, a Ligą Narodów. Obecnie weszła do Ligi na miejsce angielskiej, wybitnie zasłużonej członkini komisji i działaczki w zakresie opieki nad dziećmi, Miss Rathbone, która musiała ustąpić wobec kończącej się swej kadencji. Prowadzona była nawet bardzo intensywna agitacja za dalszym pozostaniem p. Rathbone na stanowisku, nie udało się jednak tego przeprowadzić, wobec regulaminu komisji, niedozwalającego ponownego wyboru tego samego członka. Jakkolwiek kobiety żałują Miss Rathbone, witają jednak b. życzliwie p. Gourd, która cieszy się ogólnym uznaniem dla swej pracy.

SPÓŁDZIELNIA MŁODYCH KRAWCOWYCH.

Grono absolwentek II-iej miejskiej szkoły rękodzielniczej w Warszawie założyło spółdzielnię-pracownię sukien i konfekcji damskiej i dziecięcej pod firmą „Przyszłość“.

Spółdzielnia oparta jest na zasadach spółdzielni pracy, szeroko rozpowszechnionych we Włoszech. Członkinie wpłacają udziały, mają wspólny lokal (ul. Filtrowa 61, w II-iej szkole rękodzielniczej), wspólne maszyny i narzędzia pracy. Czysty zysk dzieli się między udziałowczynie w 50 proc.; drugie 50 proc. idzie na rozszerzenie warsztatu pracy i na t. zw. fundusz społeczny.

Spółdzielnia „Przyszłość“ ma przed sobą przyszłość. Dzięki wspólnej pracy, cennik odznacza się bardzo dostępnymi cyframi. Wszystkie pracownice są wykwalifikowanymi absolwentkami 5-letniego kursu szkoły rękodzielniczej, słynącej ze swych znakomitych metod.

Przykład do naśladowania i najszerszego rozpowszechnienia. Społeczeństwo z pewnością nie odmówi tej inicjatywie poparcia.



Zaślubiny Miss Helen Wills.

ŚLUB GWIAZDY TENNISOWEJ.

Wielka amerykańska mistrzyni tenisa, p. Helena Wills, wyszła z zamąż, za p. Fryderyka Moody z San Francisco. Rycina nasza przedstawia młodą parę, wychodzącą z kościoła w Berkeley.

TRZEBA STANĄĆ DO PRACY W SAMORZĄDACH.

W każdym niemal numerze pism kobiecych angielskich znaleźć można fotografię nowej „lady mayoress“, t. j. burmistrzynie, prezydentki miasta. Znakomita polityczka, przewodnicząca parji Pracy, Miss Zuzanna Lawrence była przez długie lata dzielną radną i działaczką samorządową. Śladami jej idą wszystkie angielski, pragnące zrozumieć całokształt gospodarstwa krajowego w jego nadrobniejszych odcinkach.

W Polsce jest pod tym względem znacznie gorzej. Pomimo łatwego dostępu do ciał samorządowych, mało widzimy w nich kobiet, a te, które są, nie odznaczają się żadną specjalną działalnością. A tymczasem, jakież tam pole pracy! Śmiało powiedzieć można, że cały, katastrofalny poprostu u nas, stan higieny na prowincji, cały brud, nieład, brak wszelkich inwestycji na modłę europejską, braki w szkolnictwie powszechnym, i t. p., i t. p., dałyby się usunąć, lub przynajmniej poważnie ulepszyć przy intensywniejszej pracy samorządów i przy wydawniejszej w nich pracy kobiet.

Aby jednak naprawdę owocnie pracować w tej dziedzinie, trzeba nietylko dobrej woli, ale fachowego przygotowania i znajomości spraw. Aby udostępnić kobietom nabycie tych wiadomości, Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet zorganizował Kursy Samorządowe. Będzie to szereg wykładów bezpłatnych, obejmujących najważniejsze zagadnienia samorządowe, zarówno jak zarys historyczny rozwoju miast polskich.

Higiena, szkolnictwo, opieka społeczna, kwestja mieszkaniowa, skarbówość, aprowizacja, przedsiębiorstwa komunalne, estetyka miast, rola kobiet w samorządzie, oto tematy wykładów, które prowadzić będą najwybitniejsi prelegenci, znawcy spraw samorządowych, polityki socjalnej i ekonomicznej, jak prof. Arnold, prof. Biegeleisen, radna Brzezińska, posłanka Jaworska, wicewojewoda Łopatko, p. Toeplitz, dr. Wroczyński i inni.

Byłoby niezmiernie pożądane, aby oddziały Związku Obyw. Pr. Kobiet urządziły podobne kursy we wszystkich większych ośrodkach prowincjonalnych.

Informacyj w sprawie kursów udziela biuro Związku: Brzozowa 2, od 10 — 2, lub od 6 — 8 w Tow. Eugenicznem: Nowy Świat 1.

PORANEK KU CZCI ORZESZKOWEJ.

Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet organizuje w d. 16 marca r. b. poranek ku czci Elizy Orzeszkowej. Odbędzie się on w salach Rady Miejskiej. Protektorat nad akademją objął p. minister Czerwiński.

WYSTAWA W BYDGOSZCZY.

W salach muzeum miejskiego w Bydgoszczy otwarto wystawę artystek. Na wystawie znalazły się liczne prace malarek, rzeźbiarek i graficzek, zarówno z Wielkopolski, jak z Warszawy, Lwowa, Krakowa i innych miast Polski.

DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC.

Instytut Oświaty Dorosłych w Warszawie organizuje w czasie od 27 marca do 27 kwietnia 1930 r. miesięczny kurs dla pracowników świetlic.

Program kursu obejmuje wykłady, zebrania seminaryjne, koła praktyczne, zwiedzania, wycieczki i t. p. Kandydaci muszą mieć przynajmniej maturę gimnazjalną lub seminaryjną oraz pewną praktykę w dziedzinie pracy oświatowo - kulturalnej. Liczba uczestników jest ograniczona do 50 osób.

Podania wraz z życiorysem i odpowiednimi zaświadczeniami przyjmuje Wydział Oświaty Pozaszkolnej Ministerstwa W. R. i O. P.

Wszyscy uczestnicy będą mieszkać wspólnie.

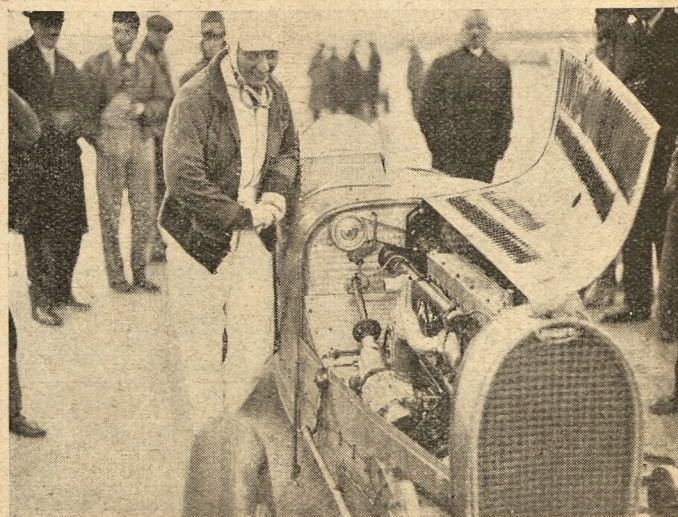
Kurs jest bezpłatny. Słuchacze otrzymują wyżywienie i mieszkanie w naturze oraz zwrot kosztów podróży III klasą.

NOWE PRAWO MAŁŻEŃSKIE.

Z dniem 1 stycznia r. b. weszło w życie w Finlandji nowe prawo małżeńskie, stanowiące o zupełnym równouprawnieniu kobiety. Mąż i żona muszą wspólnie i narówni decydować we wszystkich sprawach, czy to majątkowych, czy osobistych we wspólnym pożyciu.

NAJSZYBSZA AUTOMOBILISTKA.

Do najwybitniejszych amateerek sportu automobilowego we Francji należy panna Hellé Nice. Prowadzi ona samochód z szybkością rekordową 200 klm. na godzinę. Przed każdym raidem p. Nice sama skrupulatnie bada maszynę, przygotowując ją do podróży.



P. Hellé Nice ze swym samochodem.

GROSZE ŻYCIA CODZIENNEGO

Wszyscy wiedzą z doświadczenia, jak dotkliwą jest rzeczą w życiu codziennym brak drobnych, tej monety zdawkowej, niezbędnej do przejechania kilometrowych odległości miasta tramwajem, czy autobusem, do kupienia dziennika, owoców, czy papierosów. I choćbyś, nieszczęsny bogaczu, posiadał w kieszeni tysiące, czy czeki wielowartościowe, możesz umrzeć z pragnienia, bo właściciel budki z wodą sodową, oglądając twój banknot setkowy, odpowie ci: — Nie mogę wydać reszty z tej sumy. Może ma pan drobne...

Przejechałam niedawno całą Europę środkową i południową i w czasie podróży przekonałam się najdobitniej, co znaczy drobna moneta życia codziennego: grzeczność. Już po minięciu granicy niemieckiej, gdy żandarmi i urzędnicy celni francuscy wchodzą do przedziałów, w sposób niezmiernie uprzejmy witają podróżnych i załatwiają formalności.

W Paryżu uprzejmi są tragarze na dworcach, służba hotelowa, policjanci na ulicach, szoferzy, sklepikarze. Panie polskie lubią towar oglądać, przewracać, nawet targować się. Nikt się o to nie gniewał, nie obrażał. Każdą uwagę przyjmowano dowcipem, a gdy klientki wreszcie nie kupiły, nie robiono o to tragedji.

Przechodząc, zapytany o jakąś ulicę, zatrzyma się i w sposób wyczerpujący udzieli informacji; gdy nie wie dobrze, poprosi również nieznanego, pierwszego lepszego z brzegu, o danie potrzebnej wskazówki. Podczas święta narodowego, gdy roztańczony tłum zalał wezbraną falą bulwary, a nasze towarzystwo nie mogło odnaleźć potrzebnego autobusu, dziewczyna uliczna, poproszona o wskazanie drogi, opuściła swego dansera, przebrnęła przez tłum i doprowadziła do celu. Na podziękowanie francuzi zawsze odpowiadają: „il n'ya pas de quoi”.

Tylko, że polacy często zapominają nawet podziękować za wyświadczoną im przysługę. Nie mogą w sobie znaleźć drobnutkiego słówka „merci” — tego mizernego grosza codziennej grzeczności...

Na granicy włoskiej konduktor, wchodząc do przedziału, kłania się i uśmiecha. Ten ukłon grzeczności, ten uśmiech uprzejmy towarzyszy ci przez całe Włochy. Współpasażerowie starają się być pomocni towarzysze podróży: pomagają układać walizki na siatkach, zdejmują je, gdy potrzeba, wołają tragarza, udzielają informacji, czyniąc to wszystko zupełnie naturalnie, bez cienia dwuznacznej galanterji.

Grzeczność tę mają włosi nie tylko dla obcych. W przedziale moim jechała włoszka, pani „w dojrzałym wieku”, z synem oficerem. Syn tak się troszczył o wygodę matki, a matka tak ładnie mu za wszystko dziękowała! Jakoś dziwnie przyjemnie było słuchać tych zdawkowych słówek grzeczności, umiłających każdą czynność, nabierającą przez to podziękowanie jakby szczególniejszej wagi.

I jakże się nie uśmiechnąć do tragarza, kiedy ci po przeniesieniu bagaży za parę, taryfą przepisaną, lirów, podziękuję uprzejmie (u nas bagażowy za taryfowy pieniądz obejrzy go pogardliwie, i dobrze, jeżeli głośno gościa nie „wyruga”).

Znowu powszechnie znana jest rzeczą, że noc, spędzona w pociągu, nie należy do rozkoszy życiowych, szczególnie w okresach letnich, gdy wszystkich ogarnia epidemia wędrówki, fenomenalny ruch spokojnych zazwyczaj jednostek.

Taka jednostka — płci męskiej, czy żeńskiej — dostawszy się do pociągu, najpierw wyszukuje sobie najlepszy przedział, a pod wieczór zaczyna zdradzać silne objawy zdenerwowania. Chciałaby wszystkich współtowarzyszy wyrzucić z „coupé” i mieć „przynajmniej jedną” kanapę dla siebie. Zamyka więc szczelnie drzwi i okna, zapuszcza zasłony, nie odpowiada na pukania, a o ile, mimo to, jakiś widocznie źle wychowany osobnik wtargnie do przedziału i zapyta pokornie, czy jest tu jakie wolne miejsce — spotyka się stale z niezmienną odpowiedzią, że wszystko zajęte, chociażby na innych miejscach leżały tylko gazety, kapelusze, płaszcze. To też w Polsce część podróży zawsze w nocy stoi w kurytarzach, dlatego tylko, by druga część mogła się rozłożyć wygodnie, mimo, iż wszyscy jednakowo zapłacili za miejsce.

We Włoszech przedziału zamknąć nie można, nawet w dalekobieżnych pociągach (Paryż—Neapol; Rzym—Warszawa); przez całą noc drzwi na każdej prawie stacji otwierają się i ktoś wchodzi. Jadący przyjmują intruza bez gniewu, bez niechęci nawet. Przeciwnie, posuwają się, kurczą, niejako, by nowemu przybyszowi było też wygodnie. Powiesz, że wszystko zajęte — gdy to nieprawda — oho! zaraz jakiś faszysta to zbada i wytłumaczy ci jasno i słusznie zresztą, że jeżeli chcesz zająć dla siebie cały przedział, to zapłać za cały... Bywały już takie zdarzenia!

A w sklepach — czy to w Neapolu, czy to w Wenecji — byłam poprostu oczarowana uprzejmością kupców. Ciągłe fale turystów, targujących się, odchodzących, wracających kilkakrotnie. Sprzedający jest jednakowo grzeczny dla tych, którzy kupują drogie koronki, czy szale przepyszne, jak i dla tych, którzy kupią kilkulirowe paciorki, gondole, lub inne „ricordi”. Wie dobrze, że grzeczność jest dla kupca dobrze zrozumianym interesem własnym, jest jego zdawkową monetą.

A w Jugosławiji? Tam grzeczność zdaje się wpływać z jakiejś przedziwnej serdeczności, wrodzonej temu narodowi, rozkochanemu w lazurowych wodach Adriatyku, w łagodnym klimacie, w promiennym słońcu. Tam nawet „konobar” (kelner) będzie się starał nauczyć kilku słów języka, którym ty mówisz, a po zapłaceniu rachunku (bez napiwka!) nie wstydzi się ci podziękować słowami: „chwała l'jepo” (dzięki ładnie). Grzeczności tej uczą matki dzieci swe od lat najmłodszych: sama byłam świadkiem, jak w Gruzji żona tragarza portowego uczyła swą osiemnastomiesięczną córeczkę, napierającą się cukierka, by powiedziała: „Mama, molim was” — a potem podziękowała. Gdy po trzymiesięcznej nieobecności wróciłam do Polski, przykro mi uderzył brak uprzejmości, panujący u nas nagminnie. W urzędach, na poczcie, w tramwajach, na ulicy, w cukierniach i t. d., i t. d.; nie mówię już o sklepach, gdzie sprzedającym się wydaje, iż czynią łaskę, gdy raczą pokazać towar... Jesteśmy jakby wiecznie zadąsani, chmurni, nieuprzejmi. Potrącić kogoś na ulicy, w tramwaju, w cukierni — owszem — to można. Ale przeprosić? Tego nie bywało i nie będzie! Przyjąć od kogoś usługę, czy wyjaśnienie — dobrze. Ale podziękować? Poco?! Tak, może mamy olbrzymie skarby serca, i uprzejmości, i dobroci, i zalet wszelakich. Ale ukryte, ale zbyt wielkie na codzienny użytek. Więc pewnie leżą gdzieś w „safes'ach”, w skrytkach. Nierozmienne. Nie mamy drobnych... Więc nie szafujemy groszami, które tak umilają to nasze biedne, szare życie...

Janina Łada-Walicka.

SPORT ŁYŻWIARSKI*)

Łyżwiarstwo znane jest od najdawniejszych czasów. Daty jego powstania nie można, niestety, wykażać; jedynie wykopaliska świadczą, że już w zamierzchłych czasach było znane, gdyż z tych czasów mamy łyżwy, robione z kości zwierzęcych.

W okresie rozwoju żelaza pojawiają się łyżwy żelazne. Początkowo łyżwiarstwo było traktowane, jako środek komunikacyjny w zimie pomiędzy domostwami.

Już w XII wieku uważano łyżwiarstwo za rozrywkę dla młodzieży, a w XV i XVI w. urządzone są w Skandynawji zawody łyżwiarskie, w których biorą udział także i kobiety, o czym świadczą najlepiej miedzioryty z tych czasów. W 1801 roku odbywają się w Skandynawji zawody w jeździe szybkiej, na których ścigały się 2 kobiety, przebywając 30 mil ang. w dwu godzinach.

Jazda figurowa rozwinęła się znacznie później, gdyż dopiero w 2-giej połowie XIX wieku.

Łyżwiarstwo jest jednym z najpiękniejszych sportów zimowych, które, prócz rozrywki dają nam ruch na świeżym powietrzu. Godzina ślizgawki wzmocni nasze siły nie tylko fizyczne, ale i psychiczne, doda nam bodźca do pracy, a co najważniejsze — zahartuje organizm.

Sport łyżwiarski jest dostępny dla każdego, gdyż nie wymaga specjalnego stroju. Zwyczajna, szeroka spódniczka — plisowana lub kloszowa, aby tylko ruchy w niej były swobodne — sweter, który każda pani i tak posiada, oraz odpowiednia czapka, dopełniająca milej całości. Buciki — o ile budżet nie pozwala na specjalne, aby przykręcić do nich łyżwy na stałe — mogą być zwyczajne, z chromu, byle z cholewką dla podtrzymania nogi w kostce, dobrze dopasowane. Przy

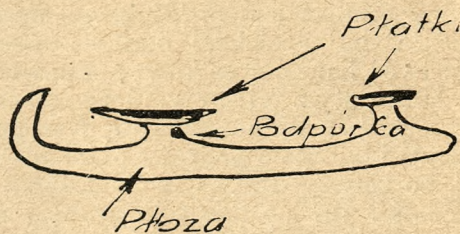
*) Wyczerpujące wskazówki jazdy na łyżwach podaje E. Nehring: „Jazda zwykła i wyścigowa na łyżwach” — Warszawa, 1927 — oraz J. Jankowski: „Jazda figurowa na łyżwach”



Holenderka na łyżwach
(miedzioryt C. Dusart 1689 r.).



Łyżwa wyścigowa.



Łyżwa typu „Salchow”

kupnie trzewików trzeba zwrócić uwagę, aby palce mogły swobodnie się poruszać, celem uniknięcia odmrożeń.

Półbuciki, pantofle na wysokim obcasie oraz długie buty do ślizgawki się nie nadają.

Łyżwa składa się z płozy, czyli ostrza, podpórki i platek, na których spoczywa but.

Łyżwy mogą być przykręcane na stałe, lub też przypinane.

Z łyżew przykręcanych najlepsze są: „Salchow'y”, „Jackson-Haynes”, zwane inaczej „Saksonami”, oraz „Ekspressy” o prostym ostrzu.

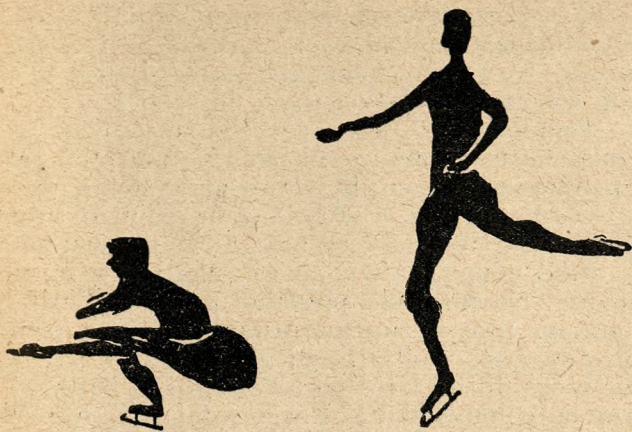
Z łyżew przypinanych najlepsze są t. zw. „Śniegórki”, podobne do Saksonów, przypinane do podeszwy zapomocą łapek. Drugim typem są tak zw. „Turfy”; są one nieco wyższe od poprzednich i mają ostry przód.

Co do samej techniki jazdy, to wprawdzie „każdy początek jest trudny”, ale jazda na łyżwach daje się specjalnie łatwo opanować. Przedewszystkiem należy nauczyć się stania na lodzie, następnie posuwania, nadając nogom położenie nieco skośne nazewnątrz. Pierwsze posunięcia będą krótkie, a następne coraz dłuższe. Z chwilą, kiedy posuwamy się na jednej nodze, lekko ugiętej w kolanie, druga powinna być również zgięta, zwisająca i zwrócona ku tyłowi. Skoro opanujemy zwykłą jazdę na lodzie, możemy przystąpić do nauki jazdy figurowej, tańców oraz do jazdy wyścigowej.

Do jazdy wyścigowej używa się łyżew nieco odmiennych od zwykłych. Cechuje je cienkie, długie, ostre ostrze (oryginalne norweskie systemu „Hagen”, znane u nas pod nazwą „Panczenów”).

Łyżwy po każdej jeździe należy dokładnie wytrzeć i schować, aby się nie niszczyły i nie tępiły. Jednak po pewnym czasie używania łyżwy tępieją; należy je wówczas oddać do naostrzenia.

Co do torów ślizgawkowych, rozróżniamy naturalne i sztuczne. Ślizgawki naturalne urządzone są na wodach stojących, jak: stawy, jeziora i t. p. Ponieważ wody stojące są zwykle zanieczyszczone sitowiem, liśćmi, gałęziami, dlatego przed nastaniem mrozów na-



leży stawy oczyścić. Z chwilą, gdy woda zamarźnie, robimy co 20 metrów przeręble o powierzchni 1 m², skąd możemy brać wodę do polewania ślizgawki, aby wygładzić jej powierzchnię, porysowaną całodziennym jeżdżeniem. (Przeręble ułatwiają pozatem oddychanie rybom).

Na ślizgawkę naturalną wchodzimy, gdy warstwa lodu ma co najmniej 10 cm. grubości.

Ślizgawki sztuczne robimy wszędzie tam, gdzie niema wody stojącej, przedewszystkiem po wielkich miastach. Teren na sztuczną ślizgawkę powinien być twardy i bez roślin. Najlepiej nadają się na to korty tenisowe, boiska ludowe, podwórza szkolne. Teren taki otaczamy wałem ziemi i z chwilą, gdy ziemia zamarźnie, polewamy wodą, tworząc sztuczny płytki staw.

Ślizgawki zarówno naturalne, jak i sztuczne należy codziennie wieczorem zamieść i polać.

Ażeby na ślizgawce utrzymać porządek oraz uniknąć potrażeń i wymijań, należy zewnętrzny pierścień toru poświęcić na bieżnię, gdzie obowiązuje ruch w jednym kierunku. Natomiast środek przeznaczamy na jazdę figurową.

Jeżeli chcemy doprowadzić jazdę na lodzie do pewnej doskonałości, powinno się ćwiczyć codziennie, systematycznie, nie przemęczać organizmu jednorazowym, kilkugodzinnym wysiłkiem. Raczej pół godziny, ale codziennie, co da nam pod każdym względem lepszy efekt.

M. K.



DOBRE ODMIANY WARZYW

(dokończenie)

Kapusta. To najpospolitsze i mające największy popyt wśród naszej ludności miejskiej i wiejskiej warzywo, jest zarazem może najmniej wymagające pod względem uprawy, ale zato b. wrażliwe na siłę nawozową gleby. Umiejętnie dobrane odmiany mogą nam dać dobre główki już od końca, a nawet od połowy czerwca.

Odmiany wczesne: „Kapusta biała czerwówka” — jedna z najwcześniejszych odmian, daje główki nieduże, ale już w czerwcu możemy je używać.

„Ditmara wczesna” — jest drugą co do wczesności wiązania główek, które są dość duże, okrągłe, ładnie uformowane, dochodzą do 1 — 1½ kg. wagi.

„Sława Enkhüizenu” jest najpóźniejsza z wczesnych kapust. Daje główki największe, okrągło-wypukłe, twarde, dlatego dobre do transportu. Odmiana handlowa.

Oprócz tych odmian jest jeszcze kapusta „Warszawska wczesna”, która jednak ustępuje wyżej wymienionym odmianom.

Odmiany późne: tu wysuwają się dwie odmiany: „Amager-duńska” na niskich głąbach, twarde, mocno zbite głowy, prawie kuliste. Doskonale przechowują się przez zimę, czy to dołowane, w kopcach, lub też na półkach w piwnicy. „Brunszwicka” ma głowy duże, nawet przy dobrem nawożeniu bardzo duże, ale jednak bardziej luźne, płaskie. Kapustę tę powszechnie nazywają „cukrowa”, gdyż rzeczywiście jest słodka i przy gotowaniu nie ma tego typowego odoru kapuścianego (odór ten spowodowany jest zawartością w liściach olejku gorczycznego).

Z kapust czerwonych dobrimi odmianami są: „Erfurcka”, jako najwcześniejsza, i następnie „Holderska” — na przechowanie zimowe.

Kapusty włoskie mają stosunkowo najmniejsze zastosowanie. Polecam odmianę „Vertus”: duża, ładnie fryzowana, trwała kapusta.

Brukselka — jest z kapust najdelikatniejszą jarzyną, tem lepsza, im głoweczki są bardziej zbite. Odmiana „Herkules” ma średnio-wysokie głąby, na których główki są osadzone gęsto. Jest to odmiana najczęściej uprawiana pod Warszawą, jako materiał handlowy. Doskonale znosi zimę, dołowana pod przykryciem z liści.

Kalarepa. Delikatne warzywo na wczesną letnią porę, a także pędzona z inspektów. Z odmian najlepsze są: „Wiedeńska biała” i „Wiedeńska fioletowa”, różniące się od siebie tylko barwą — co do jakości obiedwie delikatne i smaczne, o ile nie są przerośnięte. Wogóle kalarepa jest bardzo wrażliwa na suszę. W suche lata, niepodlewana, da materiał twarde, tykawy, niesmaczny.

Groch. Odmian tego gatunku warzywa mamy b. dużo. Zasadniczo jednak dzielimy je na: „łuskowe” — to znaczy takie, z których jemy tylko ziarno, i „cukrowe”, w których strąk nie posiada twardej pergaminowej wyściółki i można jeść go w całości.

Wśród odmian grochów do łuskania mamy grochy wysokie, potrzebujące oparcia, dające jednak znacznie większy plon od karłowych. Z nich może najlepsze są: „Telefon” i „Senator”, o ziarnie dojrzałym białozielonym, pomarszczonym; ziarno młode, takie, jak bierzemy na jarzynę — duże, słodkie.

„Cud Ameryki“ — karłowy wczesny, o ziarnie delikatnym, słodkim. Ziarno dojrzałe pomarszczone.

„Prince Albert“, „Majowy“ i „Majowy Dippego“ są to grochy wczesne, średnio wysokie (mogą być bez podpór), o ziarnie gładkim, żółtawym. Młode ziarna są słodkie i delikatne. Na konserwy nadaje się doskonale odmiana „Folger“, o ziarnie gładkim, zielonym. Groch ten sięga w celach handlowych na suche ziarno. Młodo zerwany, daje pierwszorzędną produkt na konserwy.

Z grochów cukrowych b. dobrą jest odmiana francuska: „Pois sans parchemin de 40 jours“. Groch ten jest wczesny — strąk ma cały b. delikatny i b. słodki. Można całe strączki przygotowywać na jarzynkę, jak fasolkę szparagową. Jest to odmiana wybitnie dobra i godna polecenia. Ziarno dojrzałe ma gładkie, żółto-białawe. Dobrą odmianą jest też groch „Corne-de-bélier“, o dużych, szerokich, kruchych strąkach.

Z odmian krajowych mogę polecić „De grace“ — karłowy wczesny i późniejszy „Smakolyk“.

Fasola szparagowa. Ostatnimi czasy na rynku nasiennym ogrodniczym pokazało się b. dużo odmian fasoli szparagowej, zarówno karłowej („piechoty“), jak i tyczkowej.

Jeżeli na jarzynę będziemy brać b. młode strączki fasoli, w których ziarno jeszcze wcale się nie wykształciło (strąk cienki ma od 4 — 6 cm. długości), to, co francuzi nazywają „haricot vert“ — to każda prawie fasola szparagowa się nadaje. U nas jednak używa się zwykle fasolkę już znacznie starszą, gdy strąk ma 10 — 12 cm. długości, a ziarna są już spore. Wtedy znaczna część fasol szparagowych ma twardą nitkę wzdłuż całego strąka, która niezawsze da się dobrze oddzielić, a sam strąk ma już twarde, włókniste okrywy. I nic dziwnego, że gospodynie narzekają wtedy, iż fasola niedobra, bo jest łykowata, twarda i niesmaczna.

Z dobrych fasol szparagowych karłowych, które bardzo długo zachowują mięsisty, kruchy strąk, radziłabym odmiany: „Daktylowa“ — o zielonym, mięsistym strąku, kruchym nawet wtedy, gdy ziarna są już duże — ziarno dojrzałe kawowego koloru; „Phenix“ — o ziarnie wiśniowym i zielonym strąku; „Hinricha“ — o ziarnie białym, lekko blade-różowo nakrapianem — strąk zielony; „Metis“ — strąk długi, zielony, b. delikatny; ziarno dojrzałe białe-czarne, niewielkie.

Z fasol o strąkach żółtych polecam: „Sans rival“ — wczesna fasola, strąk delikatny; ziarno dojrzałe brązowe.

„Noir de Belgique“ — ziarno czarne, strąk żółty, gruby, kruchy, mięsisty.

Fasole tyczkowe są znacznie plenniejsze, ale wymagają już podpór, co podnosi koszt uprawy.

Dobre są „Polonja“ — o strąku zielonym, krótkim, kruchym; ziarno dojrzałe białe (nadaje się na ziarno suche).

Fasola „Meu“ ma długie, zielone strąki, dochodzące do 20 cm. długości — kruche, mięsiste; ziarno dojrzałe białe.

Najlepszą jednak jest fasola „Japońska“, o ziarnie dużym, płaskim — ciemne kreski na mlecznym tle. Strąk ogromny, szeroki, płaski, b. delikatny, prędko się gotuje, b. smaczny. Fasola ta wymaga jednak dość ciepłej wystawy, bo należy do późniejszych i często się zdarza, że ziarna nie dojrzewają.

Z fasol ziarnowych dobre są: „Cheviat“ — o ziarnie podługnym, zielonkawym; „Perłowa“ i „Perłowa ryżowa“ — o drobnych, białych, prawie kulistych ziarnach, smacznych, doskonałych do sałatek.

Pomidory. — Owoce tej rośliny mają obecnie tak szerokie zastosowanie, że okazała się potrzeba nie tylko podniesienia plonu ilościowo przez dobrą uprawę i nawożenie, ale także wyhodowanie odmian, któreby najlepiej odpowiadały wymaganiom konsumentów.

Stąd mamy prawie co rok ukazujące się nowe odmiany. Dawniej tak pospolite pomidory karbowane obecnie prawie zupełnie ustąpiły miejsca pomidorom o owocach gładkich, gdyż okazało się, że owoce takie mogą dłużej leżeć po zerwaniu i są bardziej odporne na pęknięcie skórki i zgniwanie. Co do wielkości owoców, to mamy ich b. dużą skalę: od olbrzymów, dochodzących do 500, a nawet 600 gr. — do odmian, ważących zaledwie 35 — 40 gr.

Odmiany wielkoowocowe chętnie są nabywane przez fabryki konserw, dobre są też na sałatki, pomidory faszerowane i t. p. Drobnooowocowe idą przeważnie na konserwy w całości, na tak zwane „solone pomidory“.

Dlatego też podam kilka odmian pomidorów z jednej i drugiej grupy.

„Marglobe“ — odmiana pochodzenia amerykańskiego — ma duże, nawet b. duże owoce, ładnego czerwonego koloru, o bardzo przyjemnym, słodko kwaśnym smaku, b. mięsiste. Przewyborna odmiana na sałatki i konserwy, gdyż procent pestek b. niewielki. Jest to jednak odmiana dość późna.

„Pierrette“ — odmiana francuska — daje owoce duże, ładnie zabarwione, jedne z pierwszych. Dobra na sałatkę i konserwy.

„Kondin Red“ i „Reine des Reines“ są też odmianami, godnymi polecenia.

Z drobnooowocowych najlepsze są odmiany „Lukullus“ i „Des Alliers“, które mają owoce zupełnie kuliste, ładnego, żywego koloru. Jedyne do solenia w całości. Dla amatorów sałatki polecam odmianę o owocach żółtych „Golden Quenn“. Jest to odmiana kapryśna, niehandlowa, mało plenna, dość późna, ale owoce są bardzo delikatne i smaczne, a w połączeniu z czerwonymi pomidorami i białą, słodką cebulą dają b. efektowną i smaczną sałatkę.

Ogórki. W obrębie tego gatunku warzywa mamy też bogatą liczbę odmian. Zasadniczo jednak dzielimy je na gruntowe i inspektowe. Pierwsze idą przeważnie na „kiszzenie“ i „solenie“, dlatego wskazane są tu odmiany o owocach średnich, lub nawet mniejszych, ale gładkich, ładnego zielonego koloru. Dobre są odmiany „Muromskie“, „Litewskie“ i „Nieżyńskie“ — lub „Przybyszewskie“ i „Holenderskie“, o owocach nieco większych (handlowe).

Z odmian inspektowych, o owocach olbrzymich, dochodzących do 70 cm. długości, ale stosunkowo mało plenna jest odmiana „Noego“. „Hampla poprawne“ są już znacznie mniejsze, ale delikatniejsze i smaczniejsze, a także więcej plenne.

„Warszawskie“ mają z tych trzech odmian owoce najmniejsze, które już i do „kiszzenia“ na prędko użytek się nadają.

Szpinak. Z letnich szpinaków najlepsze są odmiany „Gaudry’ego“ — okrągłolisty i „Juljana“. Obie te odmiany najlepiej się udają, siane b. wczesną wiosną, gdyż do ładnego, bogatego rozwoju potrzebują dużo wilgoci. W czasie suszy b. prędko wystrzela-

ją w łodygi nasienne i stają się już niezdatne do konsumpcji. Wspaniałą natomiast jest szpinak „Nowo-Zelandzki”, czyli sznurowy. Wysiany w maju (boi się przymrozków), rośnie początkowo dość wolno i wymaga starannej opieki w pierwszych stadiach swego rozwoju, ale później odwdzięcza się sowicie, gdyż w skwarne dni lipca i sierpnia mamy wspaniałą jarzynę z jego bogatych, mięsistych, ogromnych liści.

Do użycia ścinamy całe łodygi (sznury), które potem szybko odrastają, dając doskonały produkt do samych mrozów.

Niestety, rynek nasz warzywny tej wspaniałej rośliny wcale nie uznaje. Polecam ją więc gorąco, ale tylko na domowy, prywatny użytek.

Na tem kończę pobieżny przegląd naszych najważniejszych warzyw. Pominęłam rzepy, rzodkiewki i sałaty, gdyż jest to zbyt obszerny temat, ze względu na mnóstwo odmian i b. różne upodobania konsumentów.

Zofja Wróblewska.

ZIELONA PASZA DLA KUR W ZIMIE

Świeżą zieleń trawy szron biały pokrył i zniszczył, a w każdym razie zamienił ją na suche, ostre, bez żadnej wartości odżywczej rośliny, które raczej na miano wiórów, niż roślin, zasługują. Kury teraz z kurnika wychodzą leniwie, nie zapuszczają się nigdzie dalej, lecz skulone, zbite w gromadkę, wybierają gdzieś pod ścianą najzaciśnieszsze miejsce i drzemią tam całymi godzinami. Bo i cóż robić mają? Zieleń zwarzona, dostęp do robaków udaremnia twarzą, zmarznięta skorupa ziemi. Zły to dla nich okres czasu, gdy muszą być zdane tylko na łaskę i niełaskę ludzi! Warunki ich życia zmienione kompletnie, stąd też przerwa raptowna w niosności. A my jajka mieć pragniemy, tylko, niestety, rzadko zastanawiamy się nad tem, że posiadanie ich w dużej mierze od nas samych zależy. Trzeba dać kurze konieczne dla jej organizmu warunki, a wtedy napewno wdzięczność nam swoją okaże i jaj świeżych w zimie nie zbraknie.

Jednym z bardzo ważnych warunków jest względnie ciepły kurnik, jaki już opisywałam w nr. 22 „Bluszczu” z roku zeszłego. Dobrze działa wieczorne oświetlanie kurników i karmienie wtedy jeszcze raz późnym wieczorem, co bardzo szczegółowo opisywałam w 1928 roku w nr. 23 „Drobieu polskiego”.

Dziś chcę powiedzieć, w jaki sposób można postarać się w zimie o zieloną paszę, która jest dla kur tem samym, czem dla nas jarzyna. Jeżeli wyprodukowanie naprawdę zielonej paszy przedstawiałoby duże trudności dla poszczególnych osób, niech w każdym razie całe ziarno, przeznaczone dla kur, dają kielkowane, co jest już bardzo łatwe do osiągnięcia.

Do zwykłego wykielkowania stawiamy w kuchni pod stołem cztery korytka; napełniamy codziennie jedno potrzebną nam dawkę ziarna i 2 razy dziennie polewamy letnią wodą. Po upływie czterech dni ziarno będzie dostatecznie skielkowane i gotowe do wydania, puste zaś korytka napełniamy świeżem.

Jest jeszcze sposób następujący: przeznaczone do kielkowania ziarno sypujemy do worka i zanurzamy na 24 godziny w beczce z letnią wodą, następnie-

go dnia do beczki wkładamy drugą porcję (zaletniejszy uprzednio wodę), pierwszą zaś zawieszamy nad beczką, aby przez następną dobę dobrze z wody ociekła, poczem wysypujemy napęczniałe ziarna do kubła i pozostawiamy je przez parę dni w spokoju, aż dostatecznie skielkują. Tu dolewanie wody jest zbędne, konieczna tylko, jak i poprzednio, ciepła ubikacja, gdyż w chłodzie trzy razy dłużej kielkuje.

Najlepszy i najnowszy sposób kielkowania ziarna jest następujący: przedewszystkiem przygotowujemy etażerkę o siedmiu ruchomych, płytkich szufladach, umieszczonych w pewnych odstępach jedna nad drugą, tak, jak to widać na rysunku. Sama etażerka może być zrobiona z drzewa sosnowego, szuflady zaś muszą być z drzewa znacznie twardszego (i bardzo szczelne) ze względu na ciągłą wilgoć, lub też z miękkiego drzewa i wewnątrz blachą cynkową wybite, co jest higieniczniejsze i łatwiejsze do utrzymywania w czystości, ale o wiele kosztowniejsze. Etażerek takich powinno być dwie, żeby jednego dnia półkę jednej wypróżnić, drugiego dnia — drugiej, ciągle na zmianę, gdyż ziarno na każdej półce powinno pozostawać dwa dni. Wielkość półek zależna jest od ilości przeznaczonego do kielkowania ziarna, co każda gospodyni sama zdecydować powinna, wiedząc, ile kur posiada oraz ile im dziennie ziarna przeznacza. W każdym razie warstwa zboża nie powinna przewyższać 5 — 6 cm. grubości, już namoczonego i napęczniałego, a wiadomo, że ziarno, nasiąknięte wodą, objętość swoją w dwójnasób powiększa.

Przez pierwsze dwa dni ziarno trzymamy w kubelku, zalane taką ilością wody letniej, ile było ziarna; po upływie tego czasu przekładamy je na pierwszą półkę od dołu, dwa razy dziennie zraszając dobrze letnią wodą; po następnych dwóch dniach przesuujemy całą półkę na następną, wyższą kondygnację, postępując z nią nadal ciągle jednakowo, t. j. zraszając ją dwa razy dziennie i co dwa dni przesuwa-



Półka z szufladami do kielkowania zboża.

jąc wyżej, aż dojdzie na najwyższe miejsce — 7-me. Wliczając 2 dni pozostawiania w kubelku, ziarno powinno być po 16-tu dniach dostatecznie skielkowane i musi nabrać odpowiedniego koloru, aby z pożytkiem przez kury spożyte być mogło.

Długość kielków nie powinna przekraczać 12-u cm., gdyż wtedy ziarno staje się zanadto wylugowane i traci na pożywności. Trudno jest tak zgóry określić wszędzie dokładny czas kielkowania, gdyż jest on uzależniony całkowicie od miejscowych warunków. Każda gospodyni szybko zorientuje się sama, jakie zmiany należy zastosować, jeżeli kielkowanie i długość kielków u niej nie zupełnie będzie się stosować do powyższego opisu.

Etażerka taka stać powinna w ubikacji codziennie opalanej i o ile możności widnej, gdyż w przeciwnym razie kielki pozostaną blade, lub wcale się nie zazielenią.

Dotąd przedstawiłam historję ziarn, rozpostartych na jednej półce, i podróż jej przez wszystkie kondygnacje, gdyż uważam za zupełnie zbyteczne opisywanie postępowania z następną półką, która z chwilą opróżnienia najniższego miejsca, zostaje tam z nową porcją ziarna umieszczona i idzie stałe wślad pierwszej, pozostawiając miejsce następnym. Mając dwie takie etażerki, codziennie szykujemy świeżą porcję (dawkę jednego dnia), tylko raz do jednej etażerki, drugi — do drugiej.

Jeszcze o jednej ważnej rzeczy koniecznie pamiętać trzeba i baczność zwrócić uwagę, aby kurom, nieprzyzwyczajonym do tego rodzaju paszy, nie dawać odrazu całej dawki kielkowanej, a potrochu je do tego przyzwyczajając, gdyż taka raptowna zmiana działałaby rozwalniająco, a nawet mogłaby wywołać ostrą biegunkę. Tak tu, jak wszędzie i we wszystkim, powinna być utrzymana miara i na początek nie wolno dać kielkowanego ziarna więcej, niż 20 gr. na sztukę. Po kilku dopiero dniach stopniowo dawkę powiększamy.

Każda z szufład po opróżnieniu jej z ziarna, przed nałożeniem świeżego, powinna być starannie oczyszczona, wyszorowana, najlepiej wodą wapienną, lub zwykłą z dodatkiem sody, w celu zniszczenia pleśni.

Czystość — to najważniejszy warunek powodzenia. A. D.

CIEŁĘCINA

Wiosenna potrawa sezonowa, zresztą rok cały zalecana przez lekarzy i mająca, niestety, tę właściwość, że największych jej amatorów nuży. Może wskutek tego, że, idąc po linii najmniejszego oporu, dysponujemy z niej wciąż jedne i te same potrawy, a więc: sakramentalna cielęcina pieczona — dyszek lub forszlak, zależnie od tego, czy ktoś w domu lubi cynaderki; potrawka cielęca z mostka lub łopatki, zawsze z białym sosem, conajwyżej urozmaiconym cytryną, koperkiem lub pietruszczką; kotlety cielęc bite lub siekane i wątróbka cielęca duszona lub smażona — wyczerpują repertuar pomysłowości i wiedzy gospodyni i kucharki.

Tymczasem niema bodaj innego zwierzęcia jadalnego, któreby lepiej i w sposób bardziej urozmaico-

ny dało się wyzyskać, niż cielę. I to nie tylko mięso właściwe, lecz wszystkie drobka cielęce.

Zacznę od główki, która wszędzie zagranicą stanowi przysmak ceniony, a której, naprzykład w Warszawie, wcale w handlu niema. Gdyż nie można nazwać główką cielęcą tych kości, ogłoconych ze skóry i pozbawionych najsmaczniejszych uszu i pyszczki, które sprzedają w halach i jatkach. Kości te conajwyżej na zupełną służbę mogą. Można wprowadzić obstałować u rzeźnika główkę ze skórą, wtedy jednak staje się ona artykułem kosztowniejszym od najlepszego drobiu i najwykwintniejszej zwierzyny, mało więc kto się na nią skusi.

Główkę cielęcą (oczywiście ze skórą), ugotowaną na miękko — czyto z sosem rumianym kaparowym lub cytrynowym, czy na gorąco albo na zimno z sosem tatarskim lub musztardowym — można zawsze zaliczyć do bardzo smacznych i wykwinnych potraw. Podzieloną na części, smaży się ją, jak nóżki, bądź w klarze, bądź tylko panjerowaną. Francuska kuchnia zna dziesiątki sposobów jej przyrządzania.

Częściej używane są nóżki cielęce, zawsze jednak, jako materiał na galaretę, przyczem dodaje się do nich zwykle połowę, lub więcej nóg wieprzowych. Tymczasem właśnie smak właściwy nóżek ginie w takiej galarecie, a wyborne są one smażone w cieście lub panjerowane. Takimi nóżkami okłada się zwykle szpinak, groszek zielony, lub purée kartoflane i do nich podaje sos pomidorowy czysty, lub rumiany z kaparami, czy cytryną.

Dobra wątróbka cielęca nie tylko smazona na gorąco jest wyborna: naszpikowana świeżą lub wędzoną słoninką i uduszona w śmietanie, stanowi amatorską potrawę, na gorąco i na zimno. Należy tylko umieć ją wybrać i odpowiednio przygotować. Wątróbka z dobrego cielęcica powinna być duża, jasno-różowa, bez żółtych lub ciemnych zacieków od żółci. Po należytem wycisnieniu jej w zimnej wodzie, trzeba ściągnąć z niej skórę, wycisnąć dobrze całą w rękę, poczem zalać kilku łyżkami słodkiego mleka i pozostawić na godzin parę. Tak przygotowana, jest najlepszym materiałem pasztetowym, mogącym w wielu wypadkach zastąpić nie tylko zwierzynę, lecz nawet gęsie wątróbki.

Płuca i serce są cenne na wszelkie farsze do pasztecików, pierożków, kulebiaku, Babeczek z nich, zapiekanki, sufleciki i naleśniki, niemi przekładane, stanowią wyborne, lekkie dania kolacyjne, szczególnie, jeśli do nich dodamy jakiś ostry sos rumiany z korniszonami, grzybkami marynowanymi, lub pieczarkami.

Ogromną rolę w kucharstwie odgrywa mózdek cielęcy; sposoby jego użycia są zresztą powszechnie znane.

Ozorki cielęce, świeże lub saletrowane, dają wyborną potrawkę z szarym, rodzynkowym lub chrzanowym sosem.

Mało kto zna flaczki cielęce, tak zwane kreski, a jednak są one doskonałe na wszelkie nadzienie. W Warszawie, naprzykład, można je dostać tylko w żydowskich jatkach, tak samo zresztą, jak przednie części cielęciny. A jednak właśnie te przednie części zawierają najdelikatniejsze kotlety bite i najsmaczniejszy mostek.

Łopatka po wyluzowaniu kości daje się nadziać, jak kurczęta, bułeczką z masłem, koperkiem i pietruszczką; każdym farszem pasztetowym, lub też ry-

żem z rodzinami, przyrządzonym, jak do indyka. Tam, gdzie niema tak wielu żydów, żeby wszystkie przednie ćwiartki były przez nich wykupione, łopata jest bardzo ceniona, jako tania, a wydajna potrawa do codziennych jadłospisów rodzinnych.

Poza dyszkim, który daje najlepsze pieczone i sznyce — te sznyce, których sposobów podawania istnieje chyba kilkadziesiąt — i poza forszlakiem, czyli pieczeńią nerkową, nadzwyczaj eleganckim daniem jest comber cielęcy. Może on figurować w najwystawniejszych obiadach i kolacjach. Naturalnie, o ile pochodzi z dużej i dobrze ukarmionej sztuki. Już to wogóle cielęcina, którą jadały po wojnie w całej Polsce, a nawet w jej stolicy, bardzo dużo pozostawia do życzenia. Oszczędzanie mleka jest tak daleko posunięte, że cielęta się sprzedaje zbyt młode, lub poi rozmaitemi mącznymi mięszaninami, maku-chami, odwarem lnianego siemienia. W rezultacie cielę jest chude, a mięso jego nie białe, lecz szare.

Na zakończenie przypomnę o cynaderkach cielęcych, przysmaku nad przysmaki, cenionym nade-wszystko przez smakoszy. W ostatnim numerze poda-łam parę przystawek z nich, a wspominam li tylko o cynaderkach, przysmażanych na rożenkach, o cyna-derkach w śmietanie, w maderowym sosie i t. d. i t. d. Nie mogę, oczywiście, w krótkim artykule wyczerpać szczegółowo wszystkiego, co się da zrobić z cielęciny, chciałam tylko podać trochę wiadomości o stosowa-niu jej, w nadziei, że dopomogę pamięci tych gospo-

dyń, co, skazane przepisami lekarskimi na odżywia-nie całej rodziny lub poszczególnych jej członków cielęcina — wobec zbytnej drożyzny drobiu — godzi-nami nieraz łamią sobie głowy, co by też dać na obiad lub kolację, co jeszcze wszystkim nie obrzydło.

Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE

Pani S. W. — Modlin. — Niech Sz. Pani unika płynów, zwłaszcza na noc. Trzeba lekko podwiązywać piersi, nie zabar-dzo jednak, żeby nie wpaść z jednej ostateczności w drugą i nie stracić pokarmu. Trzeba się strzec odcisnięcia piersi podczas snu, bo może się zrobić guz, mający często złośliwe następstwa. Najważniejszym jednak jest powstrzymanie się od płynów wo-góle, a szczególnie na wieczór.

Pani Z. — Poczta Rypin. — Rośliny, napadnięte przez mszyce tarczycowe, trzeba skrapiać płynem, zwanym „Aphi-nort”; nabyć go można w składach aptecznych, lub u p. inży-niera Schönfelda: Marszałkowska 55, w Warszawie. Sposób uży-cia podany jest przy płynie.

Pani J. G. — Dańdówka. — Adres kursów dla prowadzą-cych pensjonaty: Ś-to-Krzyska 15, w Warszawie, przy Tow. Uzdrowisk Polskich.

Pani J. B. — Skierniewice. — Sposób robienia haftu japoń-skiego podamy niebawem. — Nowelka skończona, o czem była wzmianka w piśmie. List do prof. Teodorowicza wysłany.

Premje dla stałych Prenumeratorek

Każda z pań, która **wpłaci wprost do naszej Administracji półroczną prenumeratę „BLUSZCZU”**

otrzyma bezpłatną premję

do wyboru, a mianowicie:

1) 6 modnych chusteczek, ozdobionych haftem, każda inna, jedna z nich zaczęta, do innych dołączone potrzebne dodatki.

Chusteczki wykonane są ze ślicznego opalu krajowego, wyrobu jednej z najstarszych w Polsce fabryk Tow. Schlösserowskiej przędzalni bawełny i tkalni w Ozorkowie, która egzystuje od 1807 roku.

albo **2) duży flakon doskonałej wody kolońskiej**

lub **3) pudełko mydeł toaletowych**

Niezależnie od tych premij, każda **pięćdziesiąta, setna, sto pięćdziesiąta itd.** prenumeratorka z pomiędzy wpłacających półroczną prenumeratę **otrzyma bezpłatnie** znakomitą książkę kucharską, zawierającą przeszło 3000 przepisów kuchennych i gospodarskich p. t.

„Doskonała kuchnia“

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr. Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wzd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Ustawa o służbie domowej.

Projekt ustawy o służbie domowej ma niezadługo zostać zatwierdzony. Szkoda, że nie poddano go przedtem pod dyskusję publiczną kobiet, jako najwięcej mających do powiedzenia na ten temat. „Nasza Mównica”, która zyskała sobie już miano poważnej trybuny kobiecej, gdzie rzuca się projekty i rozważa zasadnicze problemy życia, nadawałaby się szczególnie do dyskusji nad ową ustawą.

Służba była, jest i będzie zagadnieniem pierwszorzędnego wagi dla całokształtu życia rodzinnego. Ośmiesza się panie, których stałym tematem rozmów jest... utyskiwanie na złą służącą. A proszę się zastanowić poważnie, czem jest naprawdę służąca w średnio-zamożnym domu? Jest, czy powinna być strażniczką zdrowia przez umiejętnie, staranne gotowanie i dokładne sprzątanie; opiekunką dzieci podczas nieobecności dorywczej lub stałej pani domu, gdy pracuje zarobkowo; przyjaciółką w razie choroby i t. d. Gdy służąca tem nie jest, staje się wówczas koniecznym balastem, ciężącym na wszystkim, co dotyczy życia rodzinnego, łącznie z nerwami i psychiką domowników. Służąca, jak każdy człowiek, emanuje na zewnątrz, przelewa w otoczenie to, co stanowi jej treść.

Te obowiązki (najczęściej, niespełniane) stawiają służącą, jako pracownicę na odrębnym, jej tylko przynależnym stanowisku w ogólnej hierarchii pracowników. Z tych względów ustawa, dotycząca unormowania stosunku pracodawcy do pracownika i vice versa, nie może być szablonowa, skrojona na modłę pseudo-demokratycznych prądów. Musi być indywidualnie potraktowana. Sposób zawarcia i rozwiązania umowy musi być ujęty ustawowo w interesie stron obu. Wysokość wynagrodzenia, nietyle w stosunku do ilości pokoi i osób, ile raczej do rodzaju gospodarstwa i czasu, poświęconego gospodarstwu przez samą panią, natrafia już na poważniejsze trudności w ujęciu ustawowem. Urlopy powinny przejść drogą ustawy, gdyż wiele pań nie zdaje sobie sprawy, czem jest dla służącej to zupełne oderwanie się od otoczenia, bądź co bądź obcego i narzuconego, a powrót na czas jakiś do rodziny, do własnego życia. Prawna ochrona służby małoletniej jest też konieczna.

Nie mam jednak zamiaru dodawać nowego projektu do już istniejącego. Głównie pragnę poruszyć jedną, ujemną stronę zamierzonej ustawy, ujemną i absolutnie niezgodną z tem odrębnym, jak już wspomniałam, stanowiskiem służącej. Jest to 12-sto godzinny okres wypoczynku. Chciałabym być dobrze rozumiana. Nie chodzi o to, aby służąca nie wypoczywała 12 godzin na dobę, ale, aby to nie było objęte

ustawą. Weźmy przykład: zgodzonej służącej określłam, w myśl ustawy, że ma pracować od 7 r. do 7 wiecz. A więc... gdy przyjdą goście o 7 i pół (codzienną herbatę mogą przyrządzić sama lub ktoś z domowników...), po powitaniach, małym zamieszaniu, należy: podać herbatę, „bawić” gości, zrobić wieczorną tualetę dzieci i położyć je spać i to wszystko właściwie jednocześnie. Służąca albo wyszła, albo... czyta książkę. Tylko w wypadku wyjątkowej subtelności lub przywiązania będzie pomagać. Proszę pomyśleć o psychologicznym znaczeniu tej bezczynności służącej, gdy pani, nawet przy największej organizacji gospodarstwa, traci głowę...

Ustawa przewiduje dodatkową płacę za „dodatkową” pracę. Więc jak? Wyższa pensja? To byłoby w porządku, względnym przynajmniej, bo mogą zgodzić służącą na warunkach dzisiejszych, różnica tylko w uposażeniu. Ale jeśli tylko każdorazowa zapłata? A więc po przyjściu gości (mogą być i nie goście, nagła choroba, wypadek, może być nawet tylko... zmęczenie pani domu) należy pójść do służącej i poprosić, by zajęła się tem a tem. „Dostaniesz za to dwa złote”... Zgodzi się może. Ale może i powiedzieć: „Jak pani da 3 złote, to dobrze!”. Albo: „Nie mogę, umówiłam się z koleżanką”.

Proszę tylko pomyśleć, jakim będzie wówczas stanowisko pani?

Daleka jestem od średniowiecznego „kupowania” każdej wprost minuty życia służby i to za małe pieniądze. I daleka jestem od chęci, aby pani domu była absolutną władczynią czasu służącej, człowieka przecież. Ale posłuch być musi, autorytet być musi, bo służąca, to część rodziny, a rodzina musi być pewną organizacją. Zważywszy poziom intelektualny i moralny naszych służących, dojdziemy do smutnych horoskopów na przyszłość. Mając za sobą ustawę „ryczałtową”, nie uwzględniającą (bo to niemożliwe) zdarzeń, jakie stanowią treść nawet najbardziej zorganizowanej rodziny i jaknajbardziej ujednostajnionego sposobu życia domowników, służąca przy swym egoizmie duszy, której obce są uczucia humanitarne, występujące poza granice własnego interesu i instynktu, stanie się dla pani tem, czem była często dawniej pani domu dla niej: ciężarem nie do zniesienia, wrogiem.

Ktoś może powiedzieć, że nie ma obowiązku trzymania służby. Tak. I jeśli ustawa wyznaczy 12-godź. przymusowy wypoczynek (w święta 17), to któraż z pań będzie trzymała służącą? Zwiększy się popyt na „przychodnie”, bo nikt nie będzie chciał przez 12 godzin patrzeć na „wypoczywającą” i nietykalną służącą. Tylko matki drobnych dzieci będą mu-

siały tolerować i lawirować między paragrafami ustawy, a życiem.

Szkoda, że wnioskodawcy nie zajęli stanowiska umiarkowanego, broniąc zarówno interesów służby, jak i pracodawców. Bo może z czasem przyjdzie chwila, że wypadnie projektować ustawę w obronie uciemiężonych pań...

Służąca, to nie urzędnik, odsiadujący godziny, to pomocnica w wiecznie czynnej maszynie, jaką jest gospodarstwo domowe.

Służąca musi mieć 8 godzin snu, musi mieć czas na książkę, koleżankę, kino, na zacerowanie pończochy. Ale na to samo chce mieć czas i pani domu.

Cheemy pomocnic, a nie urzędników.

Częstochowianka.

O prawo macierzyństwa (w odpow. pp. Krawczyńskiej i Mościckiej)

Problem odwieczny, jak życie ludzkie i pochłaniający dziś wiele umysłów. Problem, który, jak węzeł gordyjski, misternie spleciony, rozciąć można jednym uderzeniem miecza, a mieczem tym jest prawo, napisane dla ludzi w cywilizowanym społeczeństwie.

Sprawa dzieci „nieślubnych“ jest istotnie palącą i ważną; i dzieci nieślubne mają prawo do życia, bo, jak trywialnie mówi nasz lud, „same się na świat nie prosiły“. Tak jest, i rodzice muszą ponosić konsekwencje tego czynu. Ale dzieci, doszedłszy do pewnego kryterjum, przejęte są żalem do tych, co im w takich warunkach dali życie.

Triumfalne obnoszenie przez kobietę swego nieślubnego macierzyństwa byłoby w moich oczach czemś wprost cudacznym. Matkę nieślubną należy uważać za istotę nieszczęśliwą, w której życiu zaszły jakieś fatalne komplikacje; tragiczna miłość bez wyjścia, albo proste i zwykle uwodzicielstwo.

Minęły te czasy, gdy matka i dziecko nieślubne byli prześladowani i pozbawieni wszelkich praw i opieki. Dziś jest już dochodzenie ojcostwa i przymusowe alimenty.

Nie nazwałabym nigdy macierzyństwa nieślubnego „rozpustą“, zbyt wiele wiąże się z niem upokorzeń, łez, goryczy i bólu, ale dobrowolne nieślubne macierzyństwo nie może być traktowane, jako bohaterstwo, raczej, jako wybryk i ekscentryczność, których później matka żałuje, a dzieci, pokutując za to, od matki się odwracają.

Autorka „Stulecia dziecka“ Ellen Key, dążąca do fizycznego odrodzenia ludzkości, ma zapewne bardzo wiele racji, ale z drugiej strony za dużo ofiar złożyć pragnie na ołtarzu macierzyństwa. Gdyby postępowano ściśle w myśl jej zasad, ludzkość wkrótce stałaby się podobna do jakiejś wielkiej hodowli zwierząt, gdzie dobieranoby tylko osobniki silne i zdrowe fizycznie, z zupełnym pominięciem prawa do osobistego szczęścia, z pominięciem psychiki człowieka, która w tym wypadku najważniejszą rolę odgrywa. Wszelka przesada i krańcowość, to rzeczy zgubne.

Znana ze swych wolnomyślnych i postępowych

przekonań, co do praw kobiety, autorka duńska Karin Michaelis ujmuje bardzo ciekawie zagadnienie wolnej miłości i nieślubnego macierzyństwa.

Jej bohaterka, pani Metta Trap, sama wychowywana była w warunkach nienormalnych, bez ogniska domowego, zdala od matki, podróżującej z lekkomyślnym ojcem-artystą. Życie i przedwczesna samodzielność wyrobiły w niej poglądy oryginalne i niezwykle: chcąc zostać matką, nie godzi się na małżeństwo. Pani Metta, uroczą, o wybitnej inteligencji, ma wyjątkowe szczęście w życiu, zakończone jednak katastrofą, którą spowodowała jej lekkomyślność. Wszyscy dookoła śpieszą ku niej z ratunkiem, Metta odpycha wszelką pomoc, chce dobrowolnej pokuty i zadosyćuczynienia za winy swoje w więzieniu. Jej bujna, nieokielznana natura czuje wkońcu potrzebę ofiary i ekspiacji, przystosowania się do kogoś, podlegania ogólnie przyjętemu prawu. Czuje, że największym błędem jej życia była niechęć do wszelkich więzów i opuszczenie człowieka, który był ojcem jej pierwszego dziecka i nazywał ją „swoją żoną wobec Boga“, marząc o tem, by została nią i wobec ludzi. Powraca do niego, ażeby ten błąd naprawić.

Córki odchodzą od matki, nie chcą jej potępiać, ale nie są w stanie zrozumieć, dlaczego tak postąpiła.

A ona przedtem jeszcze, przed pójściem do więzienia, czyniąc spowiedź ze swego życia, wyznaje im ze skruchą: „Wydałam was na świat, bo mi to odpowiadało i sprawiało radość, ponieważ myślałam tylko o sobie. Nad wami nie zastanawiałam się nigdy. Nie dałam wam radości poznania własnego ojca, któryby się wami opiekował“.

Metta Trap żyła w wyjątkowych okolicznościach, otoczona dostatkiem, wiernymi przyjaciółmi i wielką miłością swych nieślubnych dzieci. Takie kobiety, jeżeliby poza literaturą istniały w życiu, należałyby z pewnością tak dalece do wyjątków, że ogół nie mógłby się na nich wzorować. Nawet te najodważniejsze, abstrahujące od wszelkiej moralności i nie liczące się z opinią, w walce o prawo macierzyństwa nieślubnego odniosłyby kompletną porażkę, bo nie wolno jest matce dobrowolnie pozbawiać swych dzieci ojca, nawet wtedy, gdy jest najbardziej samodzielna i zabezpieczona pod względem materialnym. Rodzina jest tą komórką, bez której nie może istnieć zdrowe u swych podstaw społeczeństwo, a kobieta, walcząc o swe prawa, nie powinna wymagać zbyt wiele, czasy matryjarchatu już nie powrócą i tylko małżeństwo, legalnie zawarte, zapewnia spokój i szczęście dzieciom.

W świecie zwierzęcym instynkt nakazuje obu płciom jednakowo troszczyć się o swe potomstwo. Zwierzęta i ptaki żyją parami, samiec znosi pożywienie, zabawia swoje młode, ćwiczy je i przyucza do lotu, do zdobywania pokarmu, uczy przedsiębiorczości, jednym słowem wychowuje po swojemu, w miarę możliwości, podług swoich zwierzęcych aspiracji, a my ludzie, mający wyższe cele i zadania, powinniśmy w macierzyństwie szukać nie tylko przyrodzonych praw i zaspokojenia pewnych instynktów, ale, dążąc „ad astra“, tworzyć nowe wartości moralne, tak dla rodziców, jak i dla dzieci.

Może kobieta sięgać po mandaty poselskie, doktryny, togi profesorskie i teki ministrów, pomimo wszystko płci swojej wyżyć się nie może i, przyjmując na siebie obowiązek macierzyństwa, nie powinna uwalniać mężczyzny od obowiązku ojca; przeciwnie: wychowywać go odpowiednio i urabiać tak, by razem z matką przez swe ojcostwo czuł się, jak i ona, również z dzieckiem silnie związany.

Wanda Bogusławska — Toruń.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie sprawunki załatwiam sama, o ile to tylko możliwe; gdyż mieszkając daleko od centrum handlowego naszej osady, czasem zmuszona jestem wyręczyć się posłańcem. W tym drugim wypadku niemal zawsze wychodzę na tem źle.

2. Kupuję u stałych dostawców, którym płacę gotówką odrazu, lub regularnie miesięcznie. Liczą się oni ze mną i starają się mnie zadowolnić. Przy zakupach, rzadziej robionych, zasięgam rady osób doświadczonych i lubię się poinformować w kilku magazynach.

3. Z radością upewniam się, że towar krajowy zupełnie mię zadowolnia.

4. Mieszkam w Borysławiu, który ma specjalny charakter miejscowości przemysłowej. Robi on wrażenie osady powstałej dorywczo i bezplanowo. Borysław posiada największe kopalnie nafty i wosku ziemnego w całej Polsce. Można tu nabyć wszystko, począwszy od prowiantów i towarów włókienniczych, skończywszy na konfekcji, obuwiu i meblach.

6. Naogół zauważyłam, że miara i waga są dobre i solidne; niestety, opakowanie pozostawia wiele do życzenia: np. zawijanie masła i sera w stare akta sądowe lub gazety.

7. Przed załatwieniem ważniejszych sprawunków czytam ogłoszenia (których u nas, niestety, tak mało) i staram się wyrobić sobie pojęcie o cenach i jakości towaru.

8. Wprawdzie to nie jest w bezpośrednim związku z ankietą, mimo to, piszę, że pragnęłabym czytać w „Bluszczu“ ogłoszenia o mieszkaniach dla kobiet pracujących i dla małych rodzin. Chciałabym czytać o tworzących się towarzystwach akcyjnych w celu budowania większych domów mieszkalnych zbiorowych, w których ludzie, nie mający majątku i żyjący z określonych dochodów, mogliby zrealizować swe marzenia (często długich lat) o domu własnym. Widziałam taki dom urzędniczek pocztowych w Krakowie (ul. Sołtyka 4), który powstał w bardzo ciężkich, wojennych czasach zbiorowemi siłami; a wysiłkiem, wytrwałością i silną wolą jednostek stanął i służy dziś wielu kobietom pracującym. Jest on też ostoją dla tych, które już są na emeryturze, i gdyby go nie było, tułałyby się po umeblowanych pokojach, wiadomo, jak drogich. Dzięki temu domowi, są u siebie.

9. Z Borysławia wyjeżdżam do Lwowa po zakupy mebli, konfekcji, futer.

Uwaga: W Borysławiu, który liczy 46 tysięcy mieszkańców, jest przeszło 6 tysięcy robotników, zatrudnionych przy kopalniach nafty, przeważnie Polaków-katolików. Mamy tu jednak znikomą ilość sklepów chrześcijańskich, a tylko spółdzielnie spożywcze rozwijają się wspaniale: mamy już 16 sklepów spółdzielczych w różnych dzielnicach Borysławia, a jest nadzieja, że powstaną ich więcej.

W Borysławiu, dzięki olbrzymim kapitałom, przelewającym się w przemyśle naftowym, niektórzy ludzie wcale dobrze zarabiają. Dziwnie się tu łączy wielki zbytek ze skrajną biedą, wykwinę z brudem i błotem, a latem z kurzem niebywałym. Nie rzadki to widok, że za oknami tutejszych magazynów wytworna bielizna, balowe toalety i belgijskie kryształawy bawia oko, a obok przesuwają się postać ludzka, dźwigająca ciężkie wiadra ropy, przygodnie zdobytej z pękniętego rurociągu.

Wytworne, oszklone limuzyny mijają się na jedynej drodze naszej z autami ciężarowymi i wozami, ciągnionymi przez małe koniki. Ciastka z najlepszych lwowskich cukierni w skle-

pach, a na ulicznym, nieczem nie osłoniętym straganie, leży chleb powszedni. Chleb ten, suto kurzem posypany, lub błotem zbryzgany, zakupuja nieświadome ręce i podają dzieciom, które go łakomie zjadają.

Pragnę, ażeby to było u nas niemożliwe, iżby chleb do sprzedania leżał wśród kurzu i błota, a przekupnie mieli brudne ręce.

Nie są to przecież pragnienia zbyt wygórowane!

Kazimiera Gerżabkova — Borysław.

1. Wszystkie zakupy spożywcze, za wyjątkiem mięsa i drobnych towarów kolonialnych, co skutecznie służąca, załatwiam sama. Również sama kupuję obuwie, bieliznę i ubranie dla siebie i córek. Książki kupuje mąż, meble zaś nabywamy wspólnie.

2. Zakupy robię przeważnie w tych samych firmach; ogłoszeniami posługiwać się nie mogę, gdyż w Zawierciu nie wychodzi żadne pismo, i kupcy miejscowi ogłaszać się nie mogą.

5. Uważam, że niema różnicy między towarami naszymi, a zagranicznymi; unikam kupowania wełn zagranicznych, gdyż wyroby z Bielska są doskonale. Tylko takie przedmioty zbytku, jak wino, perfumy i pończoszki jedwabne są u nas znacznie gorsze, niż zagraniczne.

4. W Zawierciu odczuwamy wielkie braki w zakresie mleka i mięsa w tem znaczeniu, że jest tych produktów dużo, lecz w bardzo lichym gatunku. Mięso jest fatalnie dzielone, chude i sprzedawane pół na pół z kośćmi. Nie mamy w Zawierciu ani jednej mleczarni, i nabiał chudy nabywamy od kobiet ze wsi: mleko jest fatalne.

5. Ponieważ moje uwagi z powodu różnych braków najpotrzebniejszych artykułów są głosem „wołającego na puszczy“, żadnych reklamacyj nie zgłaszam.

6. Opakowanie towaru w sklepach chrześcijańskich jest przyzwoite; obsługa w tych sklepach, w których stale kupuję, bardzo uprzejma. Właściciele sklepów bławatnych (u nas wyłącznie żydzi) bardzo chętnie udzielają kredytu, nawet długiego.

7. W Zawierciu ogłoszeniami kierować się nie mogę; w Warszawie czy Krakowie udaję się zawsze do starych, wypróbowanych firm.

8. W „Bluszczu“ chciałabym widzieć ogłoszenia firm wyłącznie chrześcijańskich w zakresie bielizny, odzieży damskiej i nowoczesnych urządzeń kuchni, oraz tych przedmiotów (garnki, szczotki, odkurzacze i t. p.), które ułatwiają prowadzenie gospodarstwa.

9. Do Warszawy lub Krakowa przyjeżdżam po zakupy płaszczy zimowych i letnich, po obuwie i bieliznę. Również w Zawierciu nie mamy ani jednej porządnej pracowni sukien damskich. Dlatego, aby uszyć sobie elegancką suknię, muszę wyjeżdżać do Krakowa lub Sosnowca, który posiada parę pracowni sukien damskich, są to firmy chrześcijańskie.

Doktorowa W. B. — Zawiercie.

1. Większe zakupy robię sama, codzienne, drobne, służąca.

2. U stałych dostawców, gdyż znają mnie i jestem szybko i dobrze obsłużona.

3. Staram się zawsze kupować towary krajowe.

4. W Krakowie brak ryb morskich, kupcy twierdzą bowiem, że publiczność nie ma do nich zaufania.

6. Nigdy nie zauważyłam złej wagi.

10. Zawsze i wszystkie towary zachwalają kupcy jako zagraniczne.

M. D. — Kraków.

P.P. Kresowiance i M. Rozwadowskiej ze Lwowa.

Organizacją Ognisk emerytalnych zajmuje się grono osób, na których czele stoi p. M. Prażmowska (Płock, Kolejalna 15 m. 9). Instytucja ognisk daje zupełną gwarancję i zasługuje na pełne zaufanie. Szczegóły prac organizacyjnych były wielokrotnie omawiane w „Bluszczu“; dla wiadomości pań, nowych prenumeratorek, podajemy, że inicjatorzy przewidują w ogniskach właśnie i ten typ schronienia: oddzielne pokoje, zupełne utrzymanie i opiekę. Wszelkich bliższych szczegółów udziela chętnie p. Prażmowska listownie.

Redakcja